

PRZEJŚCIE POLAKÓW

PRZEZ NIEMCY

PO UPADKU POWSTANIA LISTOPADOWEGO.

SKREŚLIŁ

L. GADON.

Odbitka z „Dziennika Poznańskiego.“



POZNAŃ.

Z DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

1889.



419426

1 583/03

TREŚĆ

I.	Koniec powstania. — Dwernicki i Ramorino wkraczają do Galicyi. — Wojsko polskie w Austrii. — Generał Bertoletti. — Chłapowski i Roland wkraczają do Prus. — Długa kwarantana.	1
II.	Upadek Warszawy. — Demoralizacya. — Jęk Belwederczyka. — Rybiński wkracza do Prus. — Pewien opór. — Ostatni rozkaz dzienny. — Niegodny pogrzeb oręza polskiego. — Kwarantana pod Brodnicą. — Rozmieszczenie wojska polskiego. — Pobyt jego w Prusiech	10
III.	Rzekoma amnestya rosyjska. — „Rozkaz króla pruskiego. — Kilkanaście tysięcy żołnierzy wraca do Polski. — Większa część oficerów czyni to samo. — Druga część zwraca się ku Francyi. — Ruch wychodźczy. — Bem usiłuje wyprowadzić żołnierzy. — Przeshkody. — Zaczny Amerykanin. Generał Rummel. — Niegodne postępowanie władz pruskich. — Fischau. — Oficerowie kolumnami odchodzą za granicę	20
IV.	Szeregi Polaków ciągną przez Europę. — „Emigracya.“ — Szkodliwe jój skutki. — Co ją wzmacnia. — Co ją tłómaczy. — Co ją prowadzi . . .	32
V.	Mundur polski w apoteozie. — Entuzyazm w Niemczech. — Przed 50 laty a dziś. — Sympatye prywatne w samych Prusiech. — Komitety niemiecko-polskie. — Gościnność; pomoc; zapal. — Przyjęcie w Lipsku. — Czynność komitetu lipskiego. — Urok wojaków. — Chwile uniesienia i rozrzewnienia	37
VI.	Drogi od Prus. — Droga od Austrii. — Bolesna decyzya. — Z Igławy przez Czechy. — Kwarantanna bawarska. — Uprzejmość w Ratysbonie. — Obojętność w Augsburgu. — Gorące przyjęcie w Ulm i Reutlingen. — Serdeczność w Tübingen; studenci. — Niezmierny zapal we Freiburgu. — Jeszcze owacye w Mülheim i Lörrach. — Oziębła Bazylea. — Wjazd do Francyi przez St. Louis .	47

IV

- VII. Przychylne oznaki niektórych dworów. — Xiąże Ernest Gothajski. — Kapral z kulą w czole. — W. Xiężna Wejmarska i mniemana Platerówna. — Dwór Saski najprzychylniejszy. — Dreżno. — Klaudya Potocka. — Nieogłędność niektórych Polaków i reklamacye petersburskie. — Usunięcie Polaków z Saksonii 59
- VIII. Jeszcze żywsza sympatya nad Renem. — Oppenheim. — Moguncya. — Worms. — Studenci w Giessen. — Hanau. — Orzeł Biały na wodach Menu. — Nieszczęśliwy pojedynek. — Zajęcie się nami w literaturze niemieckiej. — Poezye Platen'a, Lenau'a, Mosen'a i t. p. — Śpiew o „Czwartym Pułku“ 65
- IX. Frankfurt n. M. — Uchwała jego Senatu. — Kronikarz frankfurtski o Polakach. — Pogrzeb porucznika Lang — Pożar. — Ludwik Börne. — Głosy jego o przejściu Polaków 74
- X. Wpływ przejścia Polaków na Niemców. — Duch narodowości. — Polacy go krzewią. — Rozniecenie opinii publicznej w Niemczech. — Wpływ przechodu Polaków. — Nadzieje rozbudzone, nie ziszczone. — Rzekome posłannictwa. — „Sturm-vögel der Revolution.“ — Orszak żałobny zmieniony w marsz tryumfalny. — Szlachetna postawa spółczującej Germanii. — Nie zawsze „człowiek człowiekowi wilkiem.“ — Czekamy na sprawiedliwsze uznanie.
- Wędrówka polska trwa jeszcze długo. — Władze niemieckie stają się surowsze. — Współczucie publiczności nie ostyga. — Towarzyszy wygnańcom aż do granicy. — Powitanie Francyi. — Po upływie pół wieku „starsza siostra“ odwraca się od młodziej 79



I.

Zaiste, zakończenie powstania listopadowego podaje nam przedmiot ciężkiej wagi do rozpamiętywania, rzucając szczególne światło na dojrzałość całego przedsięwzięcia, na skłonności naszego charakteru i na stopień zdolności naszych wodzów, a nawet na hart ducha i na stateczność żołnierską niektórych pomiędzy nimi. Ku zadziwieniu przyglądającej się Europy, faktem niespodzianym, trudnym do uwierzenia, stało się to, że wojsko polskie, co się tak świetnie biło, ostatecznie na wszystkich punktach... z bronią w ręku, opuściło ziemię, do wyzwolenia której rzuciło się było z takim zapałem, z takim mężstwem i poświęceniem.

Tak więc w początkach października 1831 r., całe wojsko polskie — blisko 50,000 ludzi — znalazło się poza krajem — jedną częścią na terytorium austriackim, drugą na pruskiem.

Pierwszy przykład przejścia granicy dał Dwernicki — dobry Polak, dzielny żołnierz, ale żaden wódz ani kierownik wyprawy. Już 17 kwietnia wszedł (n z swym korpusem (3300 ludzi) do Galicyi i tam po niejakiem rokowaniu 6 maja w Chlebanówce, broń złożył. Żołnierzy jego odprowadzono do Stanisławowa a potem do Siedmiogrodu; oficerów w trzech kolumnach, odprowadzono do Morawii; sam Dwernicki internowany został w mieście Steyer, w Wyższej Austrii. Nadmieniamy jednak, że część jego ludzi, bez broni wprawdzie, mogła się wymanąć i dostać na powrót do Polski.

Z większą daleko siłą, bo w kilkanaście tysięcy wyborowego wojska, przekroczył granicę austryacką nie-szczesny Ramorino dnia 18 września, pod Borowem do Galicyi; za nim uczyniły to samo małe oddziały Kamieńskiego i Różyckiego.

Postępowanie Austrii z Polakami, co w jej granicach schronienia szukali, było nierówne i niepewne: z razu srogie i ostre, później łagodniejsze, a następnie znowu surowe i podstępne. Ramorino wszedłszy do Galicyi, zajął klin między Wisłą naprzeciw Zawichostu, a suchą granicą obsaczoną wojskiem rosyjskiem, w którym zamknięty został korpusem austryackim generała Bertoletti.

Zrazu wojsko wzbraniało się oddać broń; ale trzymane pod gołym niebem, bez ognia, w słotną porę, po trzydniowym głodzie, przy braku furazu, podczas którego padła wielka część koni, ujrzało się zniewolone poddać się smutnej ostateczności. Przed złożeniem broni, żołnierze umyślnie ją psuli, lub zakopywali w ziemię.*) Następnie odprowadzono naszych, trzema kolumnami, od granicy i rozmieszczono między Sanem a granicą Kongresówki, w Ulanowie, Bieleńcach, Rudnikach, Sokołowie, Nisku i innych wsiach i miasteczkach; sztabowi przeznaczono na pobyt Sieniawę. Oddzielono oficerów od żołnierzy.

Pod pozorem kwarantany, którą z powodu cholery dla wszystkiego, co przybywało z Polski w tym czasie, ściśle przestrzegano, broniono wszelkich komunikacyi między garnizonami, tak dalece, że oficerowie o sobie, a tem bardziej o żołnierzach, nic nie wiedzieli. Wielu z tych ostatnich nie miało płaszczy lub obuwia, mimo to trzymano ich na otwartem polu, aż pod koniec

*) Kapitan Jul. Łabęcki sam zakopał, jak powiada, 700 sztuk karabinów. P. Pamiętnik Emigracyi. Zeszyt 15 stycznia 1833.

października. Około tego czasu nadeszła rzekoma amnestya cara Mikołaja dla żołnierzy i podoficerów i otworzyła pole jenerałowi Bertoletti oddawać gorliwe służby nie swemu cesarzowi. On to, pono nawet ponad wolę swego rządu, okazał się szczególnie czynnym w wypieraniu naszych wiarusów w ręce Mikołaja. Część ich zapewne odchodziła do domów dobrowolnie, ale nie wszyscy. Bertoletti oświadczyć kazał, że każdemu zostawia wolność wyboru, gdzie się chce udać, ale że ze stosunków między rządami wypada, aby żołnierze, co nie chcą wrócić do kraju, powtórzyli oświadczenie swoje wobec oficera rosyjskiego, na odebranie ich oczekującego. Uwiedzeni tem żołnierze, w małych oddziałach, pod liczniejszą zawsze eskortą, przyprowadzeni na granicę, zastawali tam całe pułki kawalerji moskiewskiej, która otoczywszy ich, natychmiast pędziła w głąb kraju. *)

Po odejściu żołnierzy zaczęto dawać więcej wolności oficerom, którym jednak pobyt w większych miastach jak w Wiedniu, Pradze, Budzie, Lwowie ściśle był zakazany. Zażądano od nich deklaracyi, gdzie kto udać się zamierza. Stanęły jakby dwie partye: jedna z jenerałami Zawadzkim i Bielińskim, z pułkownikami Ceglińskim i Odolskim i innymi sztaboficerami na czele, oświadczała się za powrotem do Polski, i ci oficerowie po podaniu prośb do Mikołaja, na ręce Paszkiewicza, odbierali pozwolenie i wracali do Polski. Druga partya objawiała postanowienie udać się do Francyi, dokąd zaraz po przejściu granicy Langermann i Romarino jęli zachęcać wojskowych. Jenerał Różycki już z Zatora wysłał dwóch oficerów: Zabiełłę i Horaina do Paryża i Londynu dla szukania informacyi i drogi.

*) Relacya por. Janusza Woronicza w Aktach misyi paryżkiej (*Actes séparés*, Vol. 6, nr. 748) w zbiorach rapperswylskich.

W listopadzie zaczęto odsyłać oficerów na wózkach do Morawii i osadzać w Iglawie, Olomuńcu a zwłaszcza w Bernie (Brünn), gdzie też zostali internowani jenerałowie Różycki, Kamieński, Szembek, wojewoda Ostrowski, Gustaw Małachowski i inni. Tu zażądano znowu deklaracyi, którą, nie wiadomo dla czego, po razy kilka ściągano. Po ogłoszeniu manifestu Mikołaja, wykluczającego z „amnestyi“ oficerów, ruch ku Francyi wzmógł się; odstręczała od powrotu do kraju poniżająca forma podania do cara, a w skutek listu marszałka Maison, ambasadora francuzkiego w Wiedniu, do jenerała Różyckiego, zaczęły krążyć wieści o dobrych chęciach Francyi.

W połowie grudnia nadeszło pierwszych 100 paszportów francuzkich, za którymi wyprawiano oficerów oddziałami po dwudziestu, pod eskortą, na furmankach bezpłatnych, aż do granicy bawarskiej, wyliczywszy każdemu pewną kwotę cwancygierów, na drogę aż do Francyi. W lutym 1832 r. znowu wysłano pewną liczbę oficerów; w marcu po twierdzach morawskich zostawało ich jeszcze około 300, najwięcej Litwinów i Wołyniaków, którzy oczekiwali na paszporty.

W Austrii na miejscu, niżsi oficerowie pobierali po 2 cwancygiery (złp. 2 gr. 24), z wytrąceniem po 37 grajcarów miedz. na mieszkania. Żołnierze dostawali mieszkanie, chleb, mięso i 6 grajcarów miedz. dziennie. Po garnizonach polskich, wśród bezczynności, grasowała na nieszczęście szulerka; wymieniano niejakiego kapitana G., który przegrał 200,000 złp. zarobowanych (?) w Kaliszu. — We Lwowie mógł działać komitet obywateli, który zbierał pieniądze, wspierał pomocą i wyprawiał rozbitków. — Namiestnik Galicyi, książę Lobkowitz, był przychylny Polakom, ale po zastąpieniu go przez arcyksięcia Ferdynanda, rząd wiedeński, w skutek nalegań rosyjskich, stał się surowszym: więził polskich wojskowych, wyganiał z Galicyi tych, co tam schronienia

szukali, a nawet niektórych wydawał Rosyi. — Jenerał Bertoletti otrzymał od Mikołaja order św. Anny.

Ogółem w granice austriackie weszło około 20,000 wojska polskiego. Do Prus, jak to zaraz zobaczymy, wkroczyła większa jeszcze liczba.

Jeszcze się walka ważyła nad Wisłą, kiedy Chłapowski i Giełgud (13 lipca pod Gorzdami), a w dwa dni później i Roland (pod Nowem Miastem) wprowadzili swe oddziały — około 7000 ludzi — ze Żmudzi do Prus, ażeby tam broń oddać. Na samej granicy pada od kuli polskiej Giełgud — i ten ponury epizod zwiększa jeszcze tragiczność chwili.

Ziemia pruska niegościnnie powitała nieszczęśliwych żołnierzy. „Pierwszej nocy zostaliśmy zatrzymani na polu, o pół mili od granicy — opowiada oficer z korpusu Chłapowskiego *) — gdzie, mimo że ziemia była wilgotna, nie mogliśmy otrzymać ani słomy, ani drzewa na ogień dla naszych rannych i chorych. Nazajutrz, zgłodzeni, przybyliśmy na miejsce przeznaczone nam na odbycie kwarantany. Położone było nad strumieniem i nad głębokiem bagniskiem; w pośrodku wznosił się pagórek piaszczysty, który nam wskazany został jako miejsce dla chowania umarłych. Wkrótce też nappełnił się on, bo niezdrowe wyziewy i brak najpotrzebniejszych przedmiotów życia, słomy, opału, zabierał szybko rannych naszych i słabowitszych ludzi.“ Podobną relacją podaje inny oficer, z oddziału Rolanda, który, jak to wzmiankowaliśmy, o kilka mil dalej wkroczył do Prus. „Po wejściu na ziemię obcą — mówi on **) — postępować musieliśmy ciasną drożyną, otoczeni z obu stron, co pięć kroków, rozstawionemi strażami pruskie-

*) M. Mielżyński. Bemerkungen zu den Werken des Dr. Spazier. Strassburg 1833. Str. 56.

**) (Konstanty Gaszyński.) — Notatki oficera polskiego o obchodzeniu się Rządu Pruskiego z korpusem wojska polskiego, w czasie 53 dni trwającej kwarantany. Paryż. 1833.

mi. Po godzinnym marszu zatrzymano nas na błotnistym polu, gdzie i jednego drzewa nie było dla schronienia się przed okropnym upałem, ani kropli czystej wody, by ugasić pragnienie... Po godzinie oczekiwania, zbliżyli się wieśniacy z mlekiem, chlebem, masłem, serem i wodą. Przed chwilą na ziemi Żmudzkiej niesiono nam chętnem sercem pożywienie, nie wymagając żadnego wynagrodzenia; tutaj za kawałek chleba płacić musieliśmy złoty polski, a za szklankę wody 6 groszy. Wtenczas sprawdziły się słowa Jeremiasza proroka: *Wodę kupowaliśmy u nieprzyjaciół naszych!* Znużeni żołnierze zasnęli na wilgotnej ziemi w największym skwarze słońca, napróżno oczekując żywności i słomy. Nazajutrz rozdano żołnierzom chleb, mięso i wódkę, i przeprowadzono nas o milę drogi dalej, pod wioskę zwaną Packmohnen (o 2 mile od Tylży). Wyznaczono nam na obóz miejsce dość obszerne, ale wilgotne, nad małym jeziorem, mające w swym obrębie tylko jedną chatę, którą dwaj generałowie nasi (Roland i Szymanowski) ze swym sztabem zajęli. Dla innych oficerów i żołnierzy rozdano słomę i kilka fur chrustu, z czego wiarusy dla siebie i dla nas naprędce wystawili baraki. Wieś Packmohnen przytykała do naszego obozu, ale ją przegradzały od nas dwa szeregi pieszych i konnych straży pruskich; a nawet z drugiej strony jeziora, co 5 kroków, stał żołnierz z bronią.“

Był to rygor kwarantany; oświadczono, że będzie ona trwać dni dwadzieścia. Przejście nagłe z życia pełnego ruchu do zupełnej beczynności, smutek, tęsknota, niepewność przyszłego losu, dręczyły naszych wojskowych; pocieszała ich tylko myśl, że za dni 20, jak skończy się kwarantana, będą mogli, choć bez broni*), wrócić do Polski. Nadzieja ta nie była zupełnie bezpod-

*) Broń polska odesłana została do Tylży, a ztamtąd wkrótce wyprowadzona morzem do Rygi.

stawną. Jeszcze 11 lutego, na początku wojny, wydany rozkaz gabinetowy króla pruskiego stanowił, że w razie przejścia jakiegoś oddziału jednej ze stron walczących na ziemię pruską, dozwala mu się wolny powrót do ojczyzny, z tą tylko różnicą, że Rosyanie broń zatrzymają, a Polacy na granicy ją złożą. Z tego pozwolenia skorzystał nawet pułkownik rosyjski Bartłomiej, kiedy go w kwietniu Żmudzini przycisnęli. — Zaraz też po przejściu Chłapowski zażądał, aby na mocy owego rozkazu dozwolonem było wojsku przejść do Królestwa; władze miejscowe odniosły się do Berlina, a tymczasem trzeba było czekać na odpowiedź.

Ale zakreślony na początku czasu minął, a o końcu nieznosnej kwarantanny nic słyhać nie było. Władze tłumaczyły zwłokę nienadejściem rozkazów z Berlina, ale pochodziła ona raczej z oczekiwania, jak się wojna rozstrzygnie, a pruski G-ł Stülpnagel, któremu naczelne zawiadywanie Polakami w Prusiech Wschodnich poruczone było, oświadczał im już coraz wyraźniej, że nie rychło będą mogli wrócić do Polski. — Najrozmaitsze dolatywały ztamtąd wieści, najczęściej niedorzeczne, a im były pomyślniejsze, chociaż nie prawdziwe, tem silniej jątrzyły niecierpliwość uwiezionych wojaków i chęć ich dostania się do braci, co jeszcze walczyli. Wielu też oficerów usiłowało rozmaitemi sposobami wyrwać się z téj niewoli i przedrzeć się do Polski, ale Prusacy tak szczerlnie strzegli wszystkie przejścia, że prawie zawsze wymykających się łapali i w fortcach zamykali. Sierpień był bardzo dżdżysty, tak że baraki, zwłaszcza żołnierskie, ciągle prawie były zalane. Zdesperowani wiarusy, jednej nocy, z własnego natchnienia, porozrzucawszy swe budy słomiane i pobrawszy w ręce kije, napadli na łańcuch straży, by się wydobyć na wolność. Zrobił się wielki alarm; Prusacy stanęli do boju i dali ognia; dwóch Polaków, śpiących spokojnie, zostało rannych od kul karabinowych; część wymknęła się, część

pojmana została. Pruska załoga całą noc została na nogach, a nazajutrz rano ujrzeli Polacy z tamtej strony jeziora wyręchtowane na ich bezbronny obóz dwa działa. To dało powód do żartów między naszymi, którzy na znak niby to kapitulacyi, na tykach wywiesili białe chustki, a usypawszy szańczyk z piasku, ustawili na nim dwie próżne beczki od piwa, w odpowiedzi na owe pruskie armaty. Jakby zawstydzone, znikły one następnej nocy, ale odtąd straż jeszcze obostrzona została, a oficerowie w dodatku związani zostali słowem honoru. Tych, eo go dać nie chcieli, pozamykano w fortcach.

Podczas kwarantany w obozie, Polacy utrzymywali porządek militarny, a w niedziele kapelan dywizyjny, przy ołtarzu z darni urządzonym, odprawiał nabożeństwo. Żywność dostarczała się w naturze; *) a obok tego wieśniacy okoliczni i przekupnie podwozili produkta i trunki, sprzedawali je za grube pieniądze, które im wedle ówczesnych ostrożności kwarantanowych, na długich łyżkach, po przepłukaniu w occie, podawano. Mieszkańcy Tylży licznie przybywali przed obóz z ciekawości, dla oglądania wojska polskiego, albo też dla kupowania koni. Dość bowiem dużo pozostawało ich jeszcze przy oficerach, a że furaz był niezmiernie drogi, zmuszeni oni byli je sprzedawać choćby za bezcen.

Dopiero po dniach czterdziestu przybył do obozu gen. Stülpnagel z zapowiedzeniem blizkiego już końca kwarantany; komisya lekarska odbyła sprawdzenie stanu zdrowia wojska polskiego, a choć znalazła, że był zaskakująco dobrym, upłynęło jeszcze kilkanaście dni przewłoki. Nareszcie, po pięćdziesięciu kilku dniach tego smutnego biwakowania, zaczęto wyprowadzać naszych rodaków z obozowiska na kwatery.

*) Prostý żołnierz dziennie dostawał $\frac{1}{2}$ funta mięsa, $1\frac{1}{2}$ funta chleba, kwaterkę kaszy, 2 łóty soli i $\frac{1}{3}$ kwatěrki gorzałki.

O dozwoleniu przejścia do Polski nie było już i mowy. Na podanie Chłapowskiego król nareszcie (5 września) odpowiedział — odmownie. Tłumaczył się, że rozkaz gabinetowy z d. 11 lutego miał na myśli tylko małe oddziały nie zaś znaczniejszą liczbę wojska, i dodawał, że wojskowi polscy powinni ocenić łaskę monarchy, który nie przychylił się do extradycyi, żądanej przez Rosyę.

Po wyjściu z kwarantany Polacy rozmieszczeni zostali w okręgu koło Królewca, Kłajpedy i w okolicy zwanój Samland, w miasteczkach i wsiach — po karczmach, folwarkach i dworach; w samym jednak Królewcu niektórym tylko, głównie chorym i ranym dozwolono zamieszkać.

Życie po garnizonach stało się swobodniejsze i znosijsze; zawiązały się stosunki z miejscowymi obywatelami, którzy poznawszy Polaków zaczęli im sprzyjać i okazywać wiele uprzejmości i dobroci. Nawet oficerowie młodszy mieli często dla nich sympatya i życzliwość, niekiedy przyjaźń. Lecz za to władze, — generał Stülpnagel, i na ogół wyżsi oficerowie pruscy, nie odznaczyli się wcale przychylnością dla nich.

Ale tymczasem, coraz gorsze nadchodziły z Polski wiadomości. Nareszcie przyszła najgorsza: Warszawa upadła...

Generał Stülpnagel natychmiast z tą wieścią porozsyłał sztafety do wszystkich miasteczek, gdzie stali Polacy, a w Królewcu na rogach ulic kazał porozlepieć o niej ogłoszenia.



II.

Po katastrofie 7 września, na ziemi polskiej, wypadki szybkim, fatalnym biegiem staczały się do ostatecznego kresu. Po nędznej radzie wojennej w Słupnie (23 września) wszystko już kończyło się bez ratunku, bez oporu i — bez chwały.

Z jękiem w duszy, jeden ze świadków téj chwili*), skreśla następujący jój obraz:

„Widzieć przed sobą nieprzyjaciela i ustępować zamięszaniu i rozprężeniu sił, które mogłyby jeszcze wszystko zbawić, gdyby możebna rzecz była spoić je, zlać w jedno, zaufaniem w wodzów i wiarą w przywrócenie porządku; słyszeć rozpaczliwe projekta, które zdawały się jak gorączka u chorego przyspieszać rozkład fizycznej organizacyi; słyszeć imiona, w które te projekta wcielić się miały, a z których żadne nie wystarczało... i tak cofać się, przechodzić Wisłę, wracać na powrót, i znowu ustępować ku granicy, w swarach, w popłochu, w ciągle rodzących się propozycjach, wśród uczucia bezwładzy moralnej nad zgangrenowaniem ciałem... O Panie! czy też dasz raz skorzystać któremu pokoleniu z tych bólów, które dotąd zdają się być tak niepłodne w naukę!

Tak generał Dembiński chce, jeśliby został naczelnym wodzem, opuścić Królestwo, rzucić się na Litwę

*) Belwederczyk L. Orpiszewski. Patrz jego „Kilka Wspomnień“ w Roczniku Tow. Historyczno-Literackiego za rok 1868.

i Ruś, odciąć armię moskiewską od Moskwy, utrzymać się w zabranych prowincjach przez zimę, uorganizować i na nowo wojnę rozpocząć...

Niech żyje Umiński! Dwóch panów Ostrowskich, w przytomności kilku zaledwie reprezentantów dogorywającego w pochodzie, z uronioną powagą Sejmu, ogłasza go naczelnym wodzem. Wsiada generał na konia, mnóstwo oficerów otacza go, galopem do obozu dąży! Piechota odrzuca nowego wodza, który chce ją prowadzić za Wisłę.

Spotykam pułkownika Szulca, z rozognioną twarzą: „Bem jeden może jeszcze coś zdziałać. Bema trzeba na naczelnego wodza!”

Spotykam... kogo? Stary mój profesor Zborowski, z którego cała szkoła śmiała się, prześladować bez litości. Twarz, z orlim nosem, jakby w przedśnieniach jakiegoś starego zamku wyglądająca; miał się za potomka Zborowskich... Zatrzymał mi konia na ulicy, i, jakby obłąkany zaklinał, żebym *ja* (dwudziestoletni podporucznik) ratował Polskę. Biedny starzec! Nigdy nie myślał, żartując w szkołach z jego dumnego chodu i czoła namarszczonego, że kiedyś twarz jego, z innym wyrazem jakiegóś Szekspirowskiej postaci, w pamięci mi się wycisnie. Zdaje się, że szatan, przedrzeźniając się, chciał w tej dziwniej, fatalnego imienia osobie, złączyć dawne dzieje z rozpaczą ówczesnej chwili i z ironią, przez jej obłąkane usta, zażądać ratunku dla Polski.“

I tak, wszelkie ofiary, wszelkie wysiłki męztwa — perły patriotyzmu i waleczności — tonęły w otchłani lekkości, niedołęztwa lub opieszałości. Demoralizacja rosła z każdą godziną. Niezgoda od radzących przeszła do bijących się; zaczęto w wojsku sejmikować; niekarność, nieład, bez boju niszczyły nasze pułki. Niektórzy generałowie i dowódcy pułkowi opuszczali armię; wielu oficerów wyższych, po kapitulacji, pozostało w Warszawie, a z tych co bardziej wdrożeni w karność wojskową,

nie opuścili szeregów, wielu brało dymisye i rozjeżdżało się na wszystkie strony; żołnierze rzucali broń i rozchodzili się. Wojsko polskie cofało się milczkiem, a nie chcąc poddać się wrogowi otwartemu, przeciw któremu krew przelewało, szło szukać schronienia u innego wroga, może gorszego, choć się z nim nie biło.

Rząd i Sejm, a raczej ich cienie, nie czekając na ostatnie minuty skonania, opuścili wojsko i udali się, pod eskortą szwadronu krakusów, na terytoryum pruskie. W wojsku Rybińskiego myślano wysłać deputacyą do Petersburga, przeciw temu prezes rządu, przed wstąpieniem na obcą ziemię (w Rypinie 26 września) zaniósł rodzaj protestacyi †), w której zastrzegał, że „cokolwiek wódz naczelny, wyszedłszy z granic swojej władzy, przedsięwzięcie, ani honoru ani sprawy ojczystej dotyczyć nie może.“ Wódz naczelny *in extremis* nic już ani przedsięwziął ani przedsięwziąć próbował, tylko dnia 5 października, wydawszy do Europy manifest, w którym oświadczał „przed Bogiem i światem, iż każdy Polak jak czuł tak czuje i nigdy czuć nie przestanie...“, główną i ostatnią część wojska polskiego do Prus wprowadził.

I to jednak nie odbyło się bez pewnych trudności, bo wielu oficerów i żołnierzy chciało powracać do domów, pomimo, że forpocztę rosyjskie bardzo surowo się obeszły z niektórymi dowódcami, co armią opuszczali. Wszelako częścią perswazyą, częścią przymusem pułki przerzedzone dezercyą wkroczyły do Prus. *) „Dowódzca

†) Miała być ona ogłoszoną w gazetach, ale Missya paryzka wstrzymała się od spełnienia tego, ażeby — gdy Rybiński już wszedł tymczasem do Prus — nie wyglądało to na uwłaczanie honorowi wojska (List Kniaziewicza i Platera z Paryża 1 listop. 1831 do księcia Adama Czartoryskiego. Rękopis w aktach Missyi paryzkiej).

*) Autobiografia generała F. Breańskiego. Rękopis w Bibliot. Pol. w Paryżu.

brygady pułkownik Niewęglowski odjechał incognito — opowiada jeden z dowodzących w téj przeprawie *) — tylko swego adjutanta Biesiadowskiego przysłał do mnie z uwiadomieniem, że już odjechał do Warszawy i zdaje mi dowództwo tejże. Jenerał dowódzca dywizyi, Muchowski, schował się w domu jednego obywatela. a rozkaz wydał, aby dywizya ruszyła w marsz. Lecz gdy kozacy przybyli do téj wsi, pan Jenerał bojąc się, aby ci się z nim nie obeszli jak z innymi podobnymi maruderami, wymknął się pokryjomu i przybył znowu do dywizyi, gdzie czyn jego był już objawionym, a dowództwo tejże było powierzone podpułkownikowi Bobińskiemu. Spostrzegłem więc Muchowskiego i oświadczyłem głośno, w obliczu dywizyi, że on już przestał być dowódcą i co tu robi, zapytałem. Muchowski odpowiedział, że tylko przybył szukać swego służącego z końmi. I tym sposobem przejechał granicę pruską, a ztamtąd w 3 dni cichaczem się wyniósł. Poprzednio jeszcze odeszli z 1go pułku strzelców oficerowie... I do tego stopnia doszła już demoralizacya. Kiedym kazał stawać pod broń brygadzie, to w pułku 16tym piechoty liniowej batalion 1szy nie chciał stanąć. Przybywam, pytam się podpułkownika Smolińskiego, co to znaczy — odpowiada, że nie może sobie dać rady. Wpadam w kupę żołnierzy — komenderuję, by broń rozbierali z kozłów.

Połowa się udaje do swój broni, a połowa słucha tamburmajora, który im wyklada potrzebę maszerowania batalionu do Moskali i tam złożenia broni. W téj to chwili uniosłem się do wściekłości, rozciąłem kilku głowy; tamburmajorowi rozkazałem łeb w mgnieniu oka ogolić, rozebrać go do naga i do pierwszych forpoczt moskiew-

*) Pułkownik Roślakowski: „Dla własnej pamięci. Szczegóły podług mego zdania na kiedyś potrzebne.“ Spisane 1883 w Ypres, w Belgii. (Rękopis w zbiorach Rapperswylskich Nr. b. 108)

skich odprowadzić, a poprzednio 50 par trzewików na tyłek wyliczyć. I subordynacya, w momencie, do pierwszego stanu doprowadzoną została, a batalion za karę przez noc całą stał pod bronią, wraz z dowódcą pułku i w jak najpiękniejszym porządku na trzeci dzień brygada, którą dowodził, pod ogniem armatnim przeszła granicę pruską i broń pod wsią Jastrzębiem w kozły złożyła i z płaczem się z nią rozstała. — A tam, wezwawszy wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy całej brygady, to jest 16go pułku liniowego i lgo strzelców, przysiągłem im w obliczu Nieba, że Ojczyzny inaczej oglądać nie będę, jak tylko z bronią w ręku i téj to przysięgi było przeszło 143 sztabsoficjerów i niższych oficerów oraz 1897 podoficjerów i żołnierzy świadkami, a po wykonaniu tejże, ze łzami rozstaliśmy się od téj broni...

W wigilią przejścia, jenerał Wroniecki w imieniu naczelnego wodza z jenerałem pruskim, komenderującym nadgraniczną 2-gą brygadą landwery, zawarł konwencyą, która w imieniu króla poręczała polskiemu wojsku „opiekę i bezpieczny pobyt“ pod warunkiem, że złoży broń, odbędzie kwarantanę i podda się prawom krajowym.

Tegoż samego dnia z kwatery głównej w Szczutowie, jenerał Rybiński wydał jeszcze ostatni ten rozkaz dzienny do armii :

„Dnia jutrzejszego opuszczamy ziemię oyczystą, wchodzimy do kraiu Pruskiego, który nam przyjazne nastęrcza schronienie. W tey ważney okoliczności odzywam się do was Towarzysze broni, ażebyśmy godni samych siebie wytrwali do mety. Niechay sąsiednich siedzib mieszkańcy, którzy skołatany burzą Rycerzom gościnne gotują przyjęcie uyrzą Was takimi, iakimi Was sława im odmalowała. Niech ile możności ochędożne odzienie, porządna postawa, szyk utrzymany, czysta broń, milczenie, karność w szeregach, chlubne u obcych dadzą wyobrażenie o Żołnierzach wolności. Pochlebiam sobie,

że Panowie Dowódcy wszelkiego dołożą starania, ażeby wszystko odpowiadało chwale imienia Polskiego, i że wszelkiego stopnia Officerowie na właściwych znajdując się miejscach, należytego porządku przestrzegać będą.

— Pomni, że świat ma na nas zwrócone oczy, że każdy nasz krok należy do historyi, winniśmy w tej stanowczej w tej uroczystej chwili wzniesć się nad losy i szlachetnem postępowaniem całą ich wyświecić niesprawiedliwość; tym jedynie sposobem możemy wpływać jeszcze na przyszłe Ojczyzny naszej koleie i przekazać potomności szacunek dla żołnierza polskiego.“

Już późno w nocy z kwatermistrzostwa jeneralnego rozesłano ordynansów do różnych części wojska z rozkazem, by stosownie do zawartej konwencji, nazajutrz o 7-mej rano znajdowały się nad granicą, na wyznaczonych punktach.

O świcie dnia następnego (5 października), generał pruski Schmidt z kilku oficerami udał się do armii polskiej, by ją przeprowadzić przez granicę. Wojsko już zebrane ruszyło niebawem; na czele jechał Rybiński ze swym sztabem, wszyscy obwinęci w płaszcach. Za nimi szła cała kawaleria z pułkiem gwardyi szaserów na przodzie, potem artyleria i na końcu piechota. Krakusy z aryergardy pod Dembińskim, na pożegnanie przekomarzali się jeszcze „ze swymi przyjaciółmi“ kozakami, snującymi się nie opodal i wołali: Do widzenia! do widzenia!

Do samej granicy było pół mili drogi, odbytéj w pośpiechu ciszy, wśród której usłyszałeś chyba zrzadka pojedyncze słowo, a częściej ciężkie westchnienie. Na granicy oczekiwało kilka kompanii fizyliarów pruskich; trębacze ich odpowiedzieli na wojskowe powitanie armii polskiej; przyłączyli się oni do niej, by iść z nią aż do pola, położonego o ćwierć mili dalej. Tam stał generał von Zöppelin z pułkiem huzarów, kilku batalionami piechoty i baterją armat 12-sto funtowych, frontem usta-

wionych. Tu miało nastąpić złożenie broni. Podchodząc do kolumny pruskiej, polscy trębacze ozwali się raz jeszcze hymnem narodowym; muzyka pruska na to nie odpowiedziała. Jenerał Rybiński z jenerałem Schmidt podjechali do jenerała Zöppelin, który mu ponownie wymienił warunki konwencji. Po rozmowie dość długiej wrócił Rybiński do wojska i na czele 3-ciej brygady jazdy wstąpił na owo fatalne pole. Kawalerya stanęła na lewo, a artylerya i piechota na prawo od gościńca. Kiedy kilka pułków ustawionych zostało, rozpoczęło się... składanie broni.

Wojskowi pruscy, oficerowie i żołnierze, mówili potem jak zostali zadziwieni porządkiem i spokojem Polaków w tej bolesnej chwili. Byli oni przygotowani ujrzeć scenę wrzawy, zamięszania, głośnych złorzeczeń, jak to w innych podobnych wypadkach się zdarzało, i jak to zwłaszcza w armii powstańczej, spiesznie zebranej a teraz karności i rygoru pozbawionej, można było oczekiwać. Ale nic z tego się nie stało. Pozostała nam ta mizerna pociecha, że w tej okoliczności widok nieszczęścia zapomnieniem godności i powagi nie został sponiewieranym.

Ułani niektórych pułków, w nocy poniszczyli byli ukochane swoje lance; popalili drzewca i zakopali ostrza; te pułki, co tego nie były uczyniły, kładły je cicho i spokojnie przed kołmi, razem z innemi częściami zbroi; piechota przed frontem ustawiała karabiny w kozły i zawieszała na nich lederwerki; artylerya oczekiwała na postanowienie, jakie jeszcze nastąpić miało. Wszystkim pułkom pozostawiono ich muzyki; oficerowie zachowali szpady, a żołnierze tornistry.

Gdy się zaczęło składanie broni, zwilżyło się nie jedno oko; nie jednego ujrzano wiarusa, trzymającego jedną ręką wiernych towarzyszy — konia i szablę — a drugą zasłaniającego twarz pokrytą bliznami, a teraz niemym bólem targaną; nie jedno stare, stwardniałe

serce żołnierskie, którego żadna przygoda bitwy nie zdołała wzruszyć, teraz zostało złamane.

Wobec tego obrazu, nawet pruskim oficerom i żołnierzom, łyzy stawały w oczach.

Straszna nauka — wspomnienie do dziś dnia ściskające duszę.

W porządku i milczeniu idą żołnierze. Idą kompanie, bataliony, pułki, konie, armaty, furgony.

Stój! Składaj broń!

I rosną stósy karabinów, lanc i pałaszy — a od czasu do czasu, na zakurzoną stal pada łyza gorąca.

Niegodny to pogrzeb czołża zpod Grochowa, Wawru, Dębego...

Ale o to stoją Prusacy z bronią do nogi i czekają by Polaków odprowadzić na przeznaczone im miejsca. „Przeszedłszy przez granicę pruską — opowiada przytoczony już wyżej świadek *) — odbyliśmy kwarantanę w Golubiu. Zamek, w którym podobno nikt nie mieszkał od czasów ostatniego starosty Skarbka, otworzył nam swoje szerokie, opustoszałe sale. Stary gmach takiego gwaru dotąd może nie znał. Wewnątrz, po zewnętrznych galeryach, pełno rozmaitego rodzaju pomieszanych mundurów; gdzieś i surdut cywilny przy wojskowej furacerce, Pod zamkiem mnóstwo koni i żydów targujących się o nie.“

„W jednym pokoju książę Eustachy Sapieha z bratem swym i nadwornym lekarzem. Maurycy Mochnacki, otoczony młodzieżą, z podniesioną brwią do góry, blade, słabym głosem rozmawiał o tem, co już skończyło się przedwczoraj. Oficerowie o Umińskim, Dembińskim, Rybińskim... Inni, i bardzo liczni, grali w karty! Jam leżał w kącie, na sianie, rozmawiając czasem z kolegami od Mazurów. Smutny, nie bardzo i Mochnackiego zaczępiałem, któremu znał dobrze w początkach powstania,

*) Orpiszewski l. c.

Przejście Polaków.



kiedym to myślał, że Moskwa nie może już wrócić do Warszawy... Adolf Łączyński zbierał składkę; mnie kazał dać dukata, a kiedy go schował, uśmiechając się zapytał: „Czy wiesz dla kogo?” — Nie — Dla tego, co ci przegrał dziesięć? — Istotnie, jeden z kolegów, zbudził mnie w nocy i wyciągnął odemnie te 10 dukatów, które wraz ze wszystkim, co sam posiadał, przegrał. Pierwsza to składka była na obczyźnie...”

Z przejściem Rybińskiego znalazło się ogółem 28,000 żołnierza polskiego na gruncie pruskim.

Po odbytej kwarantanie w okolicach Brodnicy, nie tyle przecie długiej i uciążliwej, jak dla oddziałów Chłapowskiego i Rolanda, bo trwającej tylko 5 dni, korpus Rybińskiego rozlokowany został ponad dolną Wisłą: G-ł Rybiński ze sztabem zajął Elbląg; zarząd artylerji poruczono G-łowi Bemowi z główną kwaterą w Elblągu; jazdy pułkownikowi Kosko, z główną kwaterą w Tczewie, a piechoty pułkownikowi F. Breańskiemu, z główną kwaterą w Malborgu. W całej téj okolicy ożywienie znacznie się podniosło, a pewnym dostarczycielom i oberżystom zakwitło istne żniwo; pękł u nich nie jeden rulon dukatów, wyniesiony z domu i jako zapas, na długi czas, przeznaczony; powiadano, że pod „Złotym Jelem” w Kwidzynie i pod „Wielkim Mistrzem” w Malborgu nigdy tyle nie tryskało szampana, jak odkąd pojawili się Polacy. Co prawda, niektórzy oficerowie korpusu Rybińskiego trawili czas na zgrywaniu się w karty i na hulankach, całkiem niezgodnych ze smutnemi okolicznościami, które ich do Prus przywiodły.

Bezpośrednie zawiadywanie Polakami objął G-ł von Rummel; komisarzem zaś pruskim do spraw wojska polskiego był pułkownik Drygalski. Dowódców polskich odłączono zaraz od żołnierzy, rozmieszczono ich osobno z pozostawieniem jednak, z początku po jednym oficerze swoim na kompanią lub szwadron. Podczas kwarantany dostarczano żywność w naturze; w marszu i na kwate-

rach płacił rząd pruski żołd dzienny, *) za pomocą którego żołnierze sami, sposobem t. zw. menażu, gotowali sobie strawę lub też stołowali się u mieszkańców. Fundusze te, z pominięciem g-ła Rybińskiego, wydawane były wprost każdemu z trzech komendantów broni, którzy je wypłacali dowódczom pułkowym. — Oprócz tego rząd pruski wspomógł wojskowych naszych pewną ilością odzieży i obuwia. **) Szkoda, że tę gościnność zeszedł niegodnem postępowaniem w innym względzie.

*) Generałowie pobierali dziennie po 2 talary; sztabsoficierowie po 1 tal. 5 sgr.; oficerowie subalterni po 20 sgr.; podoficerowie i żołnierze na kwaterach po 3 sgr. 6 fenigów, a w marszu po 5 sgr. 9 fenigów.

**) Wedle pruskich źródeł rozdano Polakom, w okrągłych liczbach: 17,000 koszul, 1200 płaszców, 9200 p. spodni, 450 czapek i 19,000 p. trzewików.

III.

W kilkanaście dni po przejściu, zażądał minister wojny z Berlina pismem do generała Rybińskiego (z dnia 20 października), by wszyscy wojskowi, oficerowie i żołnierze oświadczyli, czy chcą wrócić do Polski, czy też wolą wyjść za granicę. Zdawało się więc zrazu, że pod tym względem niczyja wola krępowana nie będzie. Ale pod datą 1 listopada (20 października) ogłosił Mikołaj amnestyą dla żołnierzy i podoficerów, rodem z Królestwa Kongresowego.

Powołując się na ten akt cesarski i ufając jego szczerości, król pruski wydał niebawem „rozkaz“ do polskich żołnierzy, by korzystali z ofiarowanego dobrodziejstwa i natychmiast, bez sprzeciwiania się (*unweigerlich*) wracali do kraju.†) Jednocześnie przyrzekał król oficerom wstawić się za nimi i wyjednać przebaczenie tym z pomiędzy nich, którzy się sami zgłoszą do łaski cesarza rosyjskiego. Za tem, bez odwłoki, wyznaczono rozkład marszu i drogi, któreami amnestyowani żołnierze mieli odchodzić i pod specjalnym kierunkiem pułkownika Preusser'a dla oddziału Chłapowskiego-Rolanda, oraz majora Brandt'a, dla korpusu Rybińskiego, zaczęto ich wyprawiać do Polski.

Na tę pierwszą sommacyę, już w ciągu grudnia

†) Rozkaz gabinetowy króla 6 listopada 1831. — Ogłoszenie generała von Kraft do żołnierzy i pismo tegoż do generała Rybińskiego 28 listopada.

(od 11 do 25) 12,500 żołnierzy, wiedzionych przyrodzoną tęsknotą do zagrody domowej, wymaszerowało na powrót do Polski. Oficerów zaś zawezwano wszystkich do oświadczenia co każdy ze sobą uczynić postanawia, i otworzono rejestra protokularne*), na których zapisywali się ci, którzy o pozwolenie powrotu prosili. Do 14 grudnia 1831 podało się na tych protokółach submissyi półtora tysiąca oficerów, i ci, otrzymawszy w styczniu żądane pozwolenie**), wyprawieni zostali do kraju w pierwszej połowie lutego 1832. Nieco wcześniej odeszła już była do Polski część oficerów korpusu Chłapowskiego-Rolanda, oraz 5 go pułku strzelców konnych, którym w piśmie Paszkiewicza do generała Krafft, (z 1 [13] grudnia) objawione było szczególne pozwolenie powrotu. Wszyscy ułaskawieni oficerowie wstępowali do Polski przez Neidenburg, gdzie rosyjski generał Seddeler, przy pomocy rotmistrza Wogaka, odbierał od nich ponowną przysięgę poddaństwa.

Ale gdy tak jedna część wychodźców, a mianowicie żonaci, starsi wiekiem lub w służbie dawniejsi, ciągnęła ku domowym ogniskom, druga część — zwłaszcza oficerowie młodzi i polistopadowej kreacyi — spoglądała w inną, przeciwną stronę. Prąd elektryczny wzniecony Rewolucją Lipcową nie był jeszcze uśmierzony; wrzało na wielu punktach — nie tylko we Francyi, ale i w Hiszpanii, Portugalii, Belgii, we Włoszech i Niemczech; zda-

*) Odbieranie tych deklaracyi poruczone było pułkownikowi Canitz dla korpusu Rybińskiego i generałowi Stülpnagel dla korpusu Chłapowskiego-Rolanda.

**) W piśmie Paszkiewicza do generała v. Krafft 4 (16) stycznia 1832. Pismo to wyłączało specjalnie od pozwolenia powrotu powstańców „z prowincyów Zachodnich Cesarstwa“, którzy z korpusem Rybińskiego do Prus przeszli. Tym, jako i innym oficerom, co dopiero po ogólnym terminie składania deklaracyi, submissyę podpisali, król dozwolił przedłużyć jeszcze pobyt w Prusiech, w oczekiwaniu osobnego względu na nich postanowienia Mikołaja.

wało się, że z zakłóconego stanu Europy niebawem wyniknąć muszą nowe zawikłania: koalicja przeciw Francji, rewolucja, nowa wojna, która Polakom poda broń tylko co z dłoni ich wypadłą. To wszystko składało młodszych, gorętszych, bardziej skompromitowanych nie składać submisji, nie iść z pochyloną głową do Polski, dokąd spodziewali się wrócić wkrótce z orężem w dłoni. Naturalnie myśli ich zmierzały ku Francji. O gościnności jój nie mogli wątpić; toć to niedawna towarzysza broni; powstanie tak zgubnie zakończone dla samych Polaków, przyczyniło się przecie nie mało do odwrócenia od niej niebezpiecznej wojny; we Francji, w końcu, znajdowały się zaległe sumy polskie, które na pomoc wychodźcom użyte być mogły. Śród wojskowych rozbudziły się niezatarte jeszcze tradycje 1794 roku.

Z przejściem przez granicę niknie znaczenie Naczelnego Wodza ostatniej godziny; natomiast uwytatnia się czynność generała Bema. Inni generałowie, po wprowadzeniu swych oddziałów do Prus, sądząc, że dopełnili swęj powinności, zupełnie zapomnieli o żołnierzach i już tylko o własnym losie myśleli. Jeden Bem, ożywiony doskonałym duchem łączności koleżeńskiej, który w korpusie artylerji panował, powziął pierwszy myśl dostania się do Francji z pewną liczbą oficerów swojej broni. Ale ten zamiar rychło wzrósł do szerszych rozmiarów. Kilkunastu innych oficerów, złączonych z Bemem, zaczęło w téj myśli rozwijać propagandę; artylerzyści złożyli pomiędzy sobą 10,000 franków na jój wydatki, na rozsyłanie posłańców z rozkazami, na żołd dla tych, którym rząd pruski odejmował płacę i t. p. Bem pobiegł do Królewca znieść się z rodakami tam rozłożonymi, a jednocześnie wysłał pismo do Paryża, do generała Pellet, dyrektora wydziału w ministerstwie wojny, oznajmując, że wojskowi polscy pragną szukać schronienia we Francji. Coraz liczniejsi stronnicy tego

kierunku, gorliwie jeli rozkrzewiać hasło emigrowania, wystawiając, że amnestyi carskiej ufać nie można, a że nad Sekwaną czeka Polaków najlepsze przyjęcie. Powstała z tego powodu nader żywa agitacya wśród garnizonów polskich, i młodzi oficerowie wołali za swym kolegą Konstantym Gaszyńskim:

„Bracia! namże się dzisiaj namyślać przystało
Między hańbą powrotu a legionów chwałą.”

Z postawienia rzeczy jako kwestyi honoru i patryotyzmu, wynikło rozdwojenie i nawet rozjątrzenie, które w kilku wypadkach doprowadziło nawet do przykrych bardzo scen targnięcia się na niektórych starszych oficerów. Na wahających się usiłowano wpływać i pociągnąć nie tylko oficerów, ale i żołnierzy. Czynnny, bogaty w projekta umysł g-ła Bema, zbyt bujnemi uniesiony planami, rokował sobie, że zdoła wyprowadzić z Prus do Francyi jeśli nie 15 to 10 tysięcy żołnierza — gotowy kontyngens dla utworzenia legionów polskich, jak sobie marzył generał. Potrzebny na to fundusz — milion franków — liczył znaleźć głównie we Francyi i w tym celu, w połowie grudnia wyjechał sam z Elbląga, przez Drezno do Paryża. Przed wyjazdem wystosował list *) do g-ła von Rummel z wyrzutami za niegodne jego postępowanie z żołnierzami naszymi, ale uczynił to tonem zbyt gwałtownym i prowokującym, ażeby krok ten korzystny wyrzucić mógł skutek. W podróży do Paryża, wzywał Niemców do tworzenia komitetów na korzyść Polaków i naznaczał im oficerów polskich do pomocy. — Przybywszy do Paryża żądanie swe przedstawił księciu Orleańskiemu i ministrowi wojny, ale oczekiwanego skutku od nich nie osiągnął. I od komitetu francuzko-polskiego, działającego już tam od kilkunastu miesięcy pod prezydencyą Lafayette'a, bardzo mało uzyskał; ten bowiem fundusze, którei jeszcze rozporządzał, wydatkował

*) Constitutionnel 8 stycznia 1832 r.

na utrzymanie Polaków przybyłych już do Paryża; wysłany zaś agent komitetu, Klein, z sumą 30,000 franków dla żołnierzy, zrażony trudnościami stawianymi przez Prusaków, przekonany, że ci żołnierzy nie puszcza, dojechał tylko do Saksonii i nie używszy powierzonych mu pieniędzy, wrócił z niemi do Paryża. Natomiast dr. Samuel Howe, prezydent komitetu amerykańskiego, zabrawszy ze sobą podobną sumę, dotarł nieco później, do samego Elbląga i tam część jej użył: rozdawał zasiłki żołnierzom, sprawiał im buty i koszule i odwiedzał chorych w szpitalu. Było to pocieszenie dla biednych wiarusów, ale nie trwało długo, bo gen. Schmidt wzbronił mu zbliżać się do Polaków, nie pozwolił mu nawet rozdawać im odzieży, choćby w obecności oficera pruskiego, a w końcu kazał go zaarrestować i wywieźć do Berlina.*) Nie otrzymawszy tam protekcji poselstwa francuskiego, Howe następnie odstawiony został do granicy i wydany z państwa pruskiego.

Bem, po krótkim pobycie w Paryżu, z „zakrwawieniem sercem“ — jak sam powiada — opuścił to miasto i wyruszył do Niemiec. Jeszcze z Paryża wysłał odezwę do komitetów niemieckich, dziękując im za przychylną pomoc i polecając głównie żołnierzy i podoficerów

*) Strzeżony w Berlinie przez żandarma. nie miał innego sposobu ukrycia papierów, które mogły być kompromitującami, jak wtykając je w wydrążenie popiersia alabastrowego Fryderyka, zdobitego jego stancją. Papiery te zostały w głowie Fryderyka W., gdy rząd pruski Howe'go do granicy Francji wyprowadzić kazał. Z polecenia Howe'go, przyjaciel jego, słynny autor Fennimore Cooper. zajął się ich sprowadzeniem; wysłał w tym celu osobę zaufaną, która stanawszy w tym samym hotelu, znalazła je jeszcze nienaruszone po kilku miesiącach i szczęśliwie do Paryża przewiozła.

Anegdotę tę opowiadał sam F. Cooper na zebraniu Towarzystwa Literackiego w Paryżu, dnia 3 maja 1833 r.

rów. We Frankfurcie spotkał się z pierwszą kolumną Polaków, dążących do Francyi, i wydał do nich rodzaj rozkazu dziennego z burą za niektóre usterki. Dla ułatwienia interesów przechodniów, osadził we Frankfurcie kapitana Blizińskiego, w Heidelbergu kapitana Łaskiego, wysłał też oficerów do Karlsruhe i do innych miast*) i sam wrócił już nie do Prus, tylko do Saksonii. Z Lipska wydał odezwę do oficerów z oznajmieniem, że Francya im przyrzeka „protekcją i utrzymanie“, ale zarazem załączył przestrożę, by się w kraju, co im wrota otwiera, godnie zachowali, w stosunki z komitetem polskim, świeżo pod Lelewalem w Paryżu utworzonym, nie wchodzili, i rozkazy generała Kniaziewicza spełniali. — Z myślą wydobywania z Prus żołnierzy i tworzenia legionów jeszcze się nie rozstawał; spodziewał się otrzymać na to znaczniejsze fundusze z Galicji. Ale i ta nadzieja nie dopisała. Rodacy w Poznańskim, w Dreźnie, w Paryżu, na prędce zebrali wprawdzie, pewną kwotę, ale ten grosz wdowi był tylko drobną częścią sumy, jaka mu zdawała się potrzebną do spełnienia zamierzonego projektu; fundusz zaś rządu francuzkiego, w ilości 300,000 fr., przeznaczony na zasiłek podróży wojskowych polskich i rozdawany przez agentów francuzkich w Gdańsku, Elblągu, Dreźnie, Hanowerze i t. p., użyty był wyłącznie prawie dla oficerów; w dodatku, w Prusiech, dziwnym sposobem, rozdawany za pośrednictwem władz miejscowych, szedł on w wielkiej części na tych, co do kraju wracali.

Lecz, jeśli po wielorakich usiłowaniach i zabiegach zamysł generała Bema nie dał się doprowadzić do skutku, to temu nie tylko brak funduszy, ale w równiej, jeśli nie wyższej mierze, i postępowanie rządu pruskiego

*) W pomoc Komitetom niemieckim, między innymi wysłani zostali: do Hof Kap. ks. Janusz Czetwertyński, do Plauen Przedziecki, do Zwickau Czachowski, do Bambergu Ant. Patek, do Baireuth Fr. Skirgiello.

stało na zawadzie. Ten bowiem chciał, co rychlej, pozbyć się gości, których utrzymanie ciążyło na jego skarbie, — bo Rosya, chociaż po dłuższych negocyacyach przystała była na zwrot kosztów ztąd wynikających, od wydania „amnestyi“ chciała mieć siebie za zwolnioną od wszelkiej obligacyi w tym względzie.*) Z drugiej strony, dogadzając Mikołajowi i własnej polityce, nie chciał gabinet berliński dopuścić, by za granicę wyszła znaczniejsza liczba ludzi, mogących w Europie zwiększyć żywioł ruchu i agitacyi, oraz utworzyć jakąś zbrojną formacyę, coby w razie wojny stała się punktem atrakcyjnym dla wojskowych polskich z pod trzech zaborów. To tłumaczy osobliwą usilność, z jaką w Prusiech zagnano żołnierzy i podoficerów do powrotu:**) nętkano biedaków namową, groźbą, brutalnem obchodzeniem się;

*) Gazeta „Schwäbischer Merkur“. Korespondencya z Berlina 15 stycznia 1832.

**) Oficerowie pruscy, którzy odprowadzali żołnierzy do granicy polskiej, nie tylko byli upoważnieni, ale mieli nakaz użycia siły oręża w wypadkach sprzeciwiania się. „Der preussische Echellon-Offizier ist nicht allein authorisirt sondern hierdurch angewiesen, bei offenen Widersetzlichkeiten die Gewalt der Waffen anzuwenden.“ (Instrukcyja G-1a v. Krafft 29 Listop. 1831.)

Rozkaz dzienny tegoż generała do żołnierzy polskich, z dnia 18 stycznia 1832 zawiera następujące wyrazy: „Podoficerowie i żołnierze z Królestwa Polskiego! Nie doprowadzajcie do tego, by wykonanie rozkazów Najj. Pana musiało być osiągnięte środkami przymusowemi. Wiedźcie, że nieposłuszeństwo, którebyście okazali ponowną i daremną odmową powrotu, nie będzie w żaden sposób tolerowane. Słuchajcie co wam oświadczam w sposób stanowczy!... Jako żołnierze powinniście wiedzieć, że rozkaz raz otrzymany, musi być spełniony, i wiecie na jakie kary byście się wystawili w razie trwania w nieposłuszeństwie.“

Próbki to, wykazujące wartość zaprzeczeń pruskich, że ze strony ich władzy żadnego nacisku na żołnierzy polskich nie wywierano.

starano się ich znużyć, bałamucić fałszywemi wiadomościami lub podstępniemi odezwami; grożono, że im przestaną dawać utrzymanie*), że jako dezterterów wydać ich Rosyi.**) Wszystkie te sposoby przypisywano głównie rozporządzeniom jenerała von Rummel i majora Brandt'a, (dawnego kapitana Legii Nadwiślańskiej), którzy podobno w swęj gorliwości, przekraczali nawet zamiary swego rządu. Stary, dobrotliwy, król pruski, niechętnem okiem patrzył na te gwałtowne środki, i może to w skutek tego, po pewnym czasie Rummel został zastąpiony przez jenerała Schmidt'a a Brandt przez urzędnika cywilnego. Obaj otrzymali dekoracye rosyjskie.

Paszporta za granicę wydawał rząd pruski wyjątkowo tym tylko żołnierzom, których zaliczał do kategorii „skompromitowanych“, tj. na których ciążyły szczególne przewinienia; ażeby się do niej dostać niektórzy sami siebie oskarżali o niepopelnione zbrodnie lub wymyślali je jeden na drugiego. Po pewnym czasie odjęto żołnierzom tych nielicznych oficerów polskich, którzy im z początku przy kompaniach lub szwadronach zostawieni byli; podano ich pod pruską komendę i pruski regulamin, dzielono ich na małe grupy, odłączono „skompromitowanych“ od t. zw. „upartych i krnąbrnych“ i ustawicznie przemieszczano — i właśnie te przemieszczania budziły zwykłe między wiarusami nieufność i obawę i dawały powód opierania się rozkazom pruskim. Mimo to wszystko niektóre oddziały, jako to: Krakusy, Czwartaki i Artylerzyści dziwnie uporczywie trwali w postanowieniu nie wracać do Polski. Odłączeni od swych oficerów, w obcym kraju, niedostatecznie żywieni, nędznie odziani, to nęceni obietnicą dobrego obejścia się z nimi w Rosyi,

*) Pismo jenerała Rummel do Rybińskiego 1 grudnia 1831.

**) Pismo tegoż do pułkownika Breańskiego 9 grudnia 1832 roku.

to straszeni, że Francya nie myśli ich przyjmować, opuszczeni, bez nadziei ulgi w swych cierpieniach, ci biedacy opierali się jednak wszelkim usiłowaniom Prusaków i korzystali ze wszelkich sposobów ująć do Francyi.

System wypierania w ręce wroga ludzi, którym schronienie było uroczyście zapewnione, żadnym argumentem nie da się usprawiedliwić. Nic dziwnego, że wywoływał on niekiedy sprzeciwiania się ze strony tych biedaków, których — rzecz można — pozbawiono wzroku, odjawszy im ich naturalnych przewodników. A jednak w takich zdarzeniach represya była dziwnie bezwzględna i niehumanitarna; ciemna plama pada na postępowanie pruskie za sceny zaszły np. w Elblągu, w Neuteich, Tczewie, a zwłaszcza w Fischau: dla przełamania oporu i nieposłuszeństwa, wynikającego głównie z nieznamomości języka z niedowierzania Prusakom i z obawy że ich podstępem Rosyi chcą wydać, wojsko pruskie nie wzdrygnęło się uderzyć na bezbronnych, na nieszczęśliwych, którzy w ręce króla pruskiego złożyli swe bezpieczeństwo. Polała się krew. Padli ofiarą ranni i zabici!

Na dzień 27 stycznia major pruski Szejkowski, dla formowania listy „skompromitowanych“, zwołał do Fischau żołnierzy naszych z jazdy, w okolicy rozłożonych. Wyłączywszy pewną nie wielką liczbę jako skompromitowanych, reszcie nakazał marsz na nowe leże, ale w kierunku zbliżającym ich do granicy. Żołnierze podejrzewając w tem zamiar wydania ich Rosyi głośno oparli się; rzucili się na pewnego oficera polskiego, który ich nakłaniał do powrotu, wołali że żądają paszportów do Francyi i że pójdą tylko w kierunku przeciwnym ku Malborgowi. Perswazyje żadne nie pomogły. Znajdujący się tam szczupły oddział pruski stanął im w poprzek drogi, a kiedy z krzykiem i wywijając kijami na kilkanaście kroków do niego się podsunęli, dał ognia do ku-

py. Ośm ofiar legło na miejscu,*) kilkunastu padło rannych. Pozostałych to jednak nie zawróciło; powstrzymani przez podoficerów od rzucenia się na Prusaków, rozproszywszy się ruszyli dalej i z innymi żołnierzami, co nadbiegli z sąsiednich kwater, w liczbie kilkuset przybyli pod Malborg. Zatrwożyło to mieszkańców, którzy mogli obawiać się pomsty od wzburzonych. Komenderujący tam, mając tylko bardzo szczupłą załogę pruską, wezwał wtedy do pomocy pułkownika Breańskiego. Ten, wyszedł do nich, znalazł ich na polu, w porządku, bez żadnych złych zamiarów, tylko stanowczo odrzucających „amnestye.“ Na głos od swojego, odpowiedzieli uległością i spokojnie weszli do miasta. Umieszczeni tam, tymczasowo w dawnym zamku krzyżackim, po kilku dniach poszli na nowe kwatery.

Pod wpływem tak usilnego nacisku, po odejściu głównej masy już w grudniu i później, mniejszymi partiami odchodzili żołnierze do Polski, tak że po upływie czterech miesięcy w granicach pruskich pozostało ich tylko około 4000. Chcąc i tych nakoniec się pozbyć, wydał król nowy rozkaz **) głoszący, że „ci, co jeszcze trwać będą w uporze nie wracania do Polski, uważani będą za ludzi, na których ciążyą szczególne, osobiste zbrodnie, albo też którzy się noszą z niebezpiecznymi zamiarami, zagrażającymi spokojowi i bezpieczeństwu własnej ojczyzny lub innych państw.“ Niesłuchany ten rozkaz groził zarazem, że niepoprawni będą odtąd wzięci pod szczególnie ostry i ścisły nadzór. Po téj zapowiedzi zmaglanie jeszcze się wzmogło. Zatem odeszło je-

*) Ciborowski, Wędołowski, Jancewicz, Małachowski. Grabowski, Sierzpichowski [z 8 pułku strzelców konnych; Łubiński z 2 pułku strzelców konnych; Pietras z 13 pułku ułanów.

**) Królewski *Cabinets-Ordre* z 25 maja 1832.

szcze 3000 do Polski i pozostało już tylko do tysiąca, którzy bądź co bądź trwali przy swoim i w ręce rosyjskie wzbraniali się wrócić. I tych to rzeczywiście zamknięto w twierdzach w Gdańsku, w Piławie, w Grudziądzu! I długo jeszcze trzymano ich w jasyrze, gdzie zaprzagnięci do taczek, użyci byli do ciężkich robót. Następnie, w maju i w czerwcu 1832, kilkuset „skompromitowanych“ rząd pruski wyprowadził morzem z Gdańska i Piławy do portów francuzkich.

Z oficerami postępowanie rządu pruskiego było inne. Na emigrowanie oficerów patrzył zapewne bardzo niechętnie, ale tym, co oświadczyli, że do kraju wrócić nie zamierzają, nie tylko wyjazdu za granicę nie bronił, lecz przeciwnie ich śpiesznie przed innymi, tj. przed tymi, co do Polski wrócić mieli, z Prus wyprowadził i do drogi przynaglał. Czynił to i dla oszczędzenia kosztów ich utrzymania, i dla usunięcia co rychlej ich wpływu na młodszych towarzyszy broni. Niektórzy oficerowie, jak mianowicie pułkownicy Breański, Bobiński, Roślakowski, majorowie Święcicki, Mejzner, Żyliński, Żebrowski, co się gorliwie żołnierzami opiekowali, wynajdywali różne preteksty, ażeby jak najdłużej w Prusiech się utrzymać; byli tacy, co dla tego umyślnie ran swoich nie goili. Ale policja pruska nie dawała im spokoju i bez względu na otwarte rany, na trzaskające mrozy, przez żandarmów do wyjazdu ich zmuszała.

Już od połowy grudnia 1831 zaczęły odchodzić z Prus przez Frankfurt n/O. jedne po drugich, oddziały, czyli tak zwane kolumny wychodźców, udających się do Francji. Każdemu rząd pruski wydawał osobisty paszport i płacę dotąd pobieraną, obliczoną aż do granic królestwa. Oprócz tego dostarczał kolumnie podwód oraz kwater na noclegach. Na każdą furę czterokonną siadało zwykle po 5 osób. Kolumny były różne i obej-

mowały od 50 do 100 i więcej osób*), wyłącznie prawie oficerów lub podchorążych wyższego wykształcenia i młodych powstańców litewskich, którym przyznane były przy wejściu do Prus lub później stopnie podporucznikowskie. Żołnierzy prostych, jak już mówiliśmy do Francji nie puszczano; że jednak oficerom wolno było mieć służących, więc pod tym pozorem odjeżdżający mogli wywieźć ze sobą pewną liczbę najlepszych podoficerów i instruktorów, wybranych po plutonach i przedstawionych niekiedy, dla obejścia kontroli, pod innym nazwiskiem.

Tym sposobem wydostał się do Francji i kapitan Skulski, co na granicy zastrzelił był g-ła Giełguda i którego policja pruska czynnie poszukiwała. Komendantów tym podróжным oddziałom nieznaczano wcale, ale sama kolumna obierała sobie z pomiędzy zaufanych oficerów „przewodnika“ na całą drogę. Ze strony pruskiej dodawano tylko do każdej kolumny oficera dla utrzymania porządku podróży, do znoszenia z się władzami po drodze i zarządzania podwód i kwater. Byli to zwykle ludzie dobrze wychowani, uprzejmego obejścia i mówiący po francuzku albo po polsku; jechali oni osobno, ale często, dla kompanii, zapraszali do swego wozu jednego lub dwóch Polaków, i towarzyszyli kolumnie aż do granicy francuskiej.

*) Oficerom udającym się w podróż o własnym koszcie wolno było jechać w liczbie nie większej, jak w ośmiu lub dziesięciu.

IV.

Ale nie tylko kolumnami szli nasi wędrowcy; liczniej jeszcze dążyli w rozproszeniu — pojedynczo a częściej we dwóch albo kilku, jak komu wypadło: dyliżansem, ekstrapocztą, koczem, wózkiem lub piechotą; jedni mieli podróż zwyczajną i prozaiczną, inni spotykali się z przygodami; wielu jechało wygodnie, ale byli i tacy, co szli w biedzie, o kiju tułaczym. „Nigdy nie zapomnę — pisze już wzmiankowany wyżej Howe*) — młodego chłopaka od Krakusów, którego spotkałem na gościńcu. Był to dzień zimny i on trząsł się cały w wytartym swym mundurku; nogi miał spuchnięte a twarz bladą i wychudłą; nie miał ani grosza w kieszeni i nie umiał ani słowa języka krajowego. Ale on szedł wciąż ku Zachodowi pytając tylko o drogę do Francyi. Nieboraczysko! Szedł już tak długo — myślał więc, że ona już o kilka mil tylko, a on był dopiero nad brzegiem Odry.“

Już od października, acz nie gęsto jeszcze, widzimy wychodźców polskich przemykających przez Europę, pod własnem lub pod przybranem nazwiskiem. Bonawentura Niemojowski w asystencyi kilku „Kaliszanów“ przybywa do Paryża 24 października; Lelewel, przejechawszy Niemcy pod imieniem Neumanna, staje tam tuż za nim, w asystencyi kilku członków klubu warszawskiego; z kwartantany w Golubiu, wygrawszy tam kilkadziesiąt duka-

*) List z dnia 25 maja 1832 do Tomasza Campbell, znanego poety angielskiego.

tów, Maurycy Mochnacki, niecierpliwie ostrząc swe pióro, pospiesza też nad Sekwanę, ale dziwnie krętą drogą — przez Szczecin, Lipsk, Hanower i Brukselę. O tym samym czasie wyjeżdża z Podgórza *) Georg Hoffmann, i od tem nazwiskiem odbywa podróż książę Adam Czar-toryski. Kiedy w Warszawie szepcą sobie o nim, że umarł w Krakowie, były prezes rządu Narodowego, mo-żny niedawno mecenas puławski, o szczupłym tłómaczku wygnaćczym przedziera się przez Niemcy, dążąc do Lon-dynu. Towarzyszy mu Karol Sienkiewicz, za paszportem Karola Plauzowskiego. Dwaj ukryci podróżnicy tu i ow-dzie w swój drodze natykają się, niepoznani, na innych rodaków. Ale któż ich wszystkich wyliczy! Kto podoła im wszystkim towarzyszyć — kiedy wkrótce nie będzie szlaku wiodącego przez środek Europy, na którym byś nie spotkał Polaków zmierzających ku Zachodowi.

Z tego to zastępu rodaków naszych, co wyszedłszy z Ojczyzny nie chcieli, czy nie mogli, do niej wracać teraz, wytworzył się odrębny korpus Wychodźstwa czyli Emigracyi polskiej — fakt doniosły w następstwach i bezpośrednio mający nie obojętne znaczenie dla stanu wewnętrznego kraju naszego. Bo w chwili, kiedy Polska skołatana i wyniszczona burzą wypadków, potrzebowała bardziej niż kiedy spokojnej pracy, skupienia i trzeź-wego liczenia się z rzeczywistością, ta garstka braci na tułactwie, z oddalenia, nie tylko swem działaniem, ale samym bytu swego urokiem, utrzymywała jakiś nieokre-ślony niepokój, wzbudzała jakieś wyczekiwanie i nadzie-je, które, odwodząc umysły społeczeństwa od najważniej-szych spraw domowych, zwracały je ku ułudom zewnę-trznym.

*) Tam się schronił książę Adam Czar-toryski 27 wrze-śnia, w dzień kiedy wojsko rosyjskie zajęło Kraków.

Obok tego emigracya uprowadzała ze sobą kwiat młodzieży i wierzchołki inteligencji i ubożyła w ten sposób na dłuższy czas kraj z dzielniejszych żywiółów, z wyższych sił umysłowych, w które on i tak nie obfitował, a które na długoletniem wychodźstwie bez pożytku dla kraju po największej części zwiędnieć miały. Pomnijmy bowiem, że wychodźstwo utworzyło się z wyboru ludności, z czoła narodu; obejmowało ono senatorów, posłów, ministrów, generałów, uczonych, profesorów, poetów, literatów, możnych panów, większych i mniejszych właścicieli, urzędników i cały tłum oficerów starszych i młodszych oraz akademików i uczniów szkół wyższych, a w całej ogólnej jego liczbie — 7000 do 8000 głów w przybliżeniu — szeregowcy i prostaczkowie stanowili stosunkowo małą t. j. czwartą część załedwie.

Surowe ukazy Mikołaja, rzekome amnestye wyłączające całe kategorie uczestników powstania*), wiarołomne postępowanie z tymi, co w kraju pozostali, lub doń wracali**), niszczyło wszelką wiarę w carską „łaskę i przebaczenie“; szereg zaś krzywd i gwałtów, urąganie zwyciężonemu narodowi, umyślnie zadawane mu zniewagi i upokorzenia***) zbyt dotkliwie przekonywały Polaków,

*) 2 października (20 września), 9 października (27 września), 13 października (1 października) 1831 roku.

**) Generałowie polscy, co pozostali w kraju, byli wywiezieni w głąb Rosyi, a mianowicie: Iz. Krasiński, Zółtowski, Krukowiecki, Morawski, Milberg, Tomicki, Czyżewski Redel, Ruthié, Rohland, Niesiołowski, Mroziński, Zawadzki, Bontemps i Dziekoński do *Wołogdy*; M. Radziwiłł do *Jarosławia*; Turno, Bogusławski i Müller do *Permu*; Wejssenhof do *Kostromy*; Prądyński do *Petersburga*.

***) Porywanie i wywożenie dzieci do kolonii wojskowych „w Kantonisty“; rozkaz deportowania masami drobnej szlachty na Kaukaz; wcielenie żołnierzy polskich, wbrew amnestyi, do armii rosyjskiej (na 15 lat); zniesienie

że Cesarz Wszechrosyi to dla nich nie monarcha, który po burzy pragnie przywrócić ład i spokój, to nie ojciec swych ludów, co po zadanych ciosach stara się je goić i łagodzić, że to nie tylko groźny zwycięzca, ale twardy, namiętny wróg rodu polskiego, dążący do zdeptania jego praw i jego bytu. To wszystko, oczywiście, musiało nie mało przyczynić się do wzmożenia prądu emigracyjnego.

Zapewne, aby zanieść protestacyą za granicę, na to nie trzeba było tłumu; wystarczyłoby na to kilka najwybitniejszych osób Rządu i Sejmu; i ktoś dziś nie uzna, że liczna emigracya kraj osłabiała? Ale ci wszyscy, co się oddalali od granic ojczystych, ani przypuszczali, że je żegnają na długo; rozłąkę tę brali tylko za chwilowe zawieszenie walki, tak bowiem byli pewni bliskich zawikłań i „nowej wojny“ w Europie, i tak byli przejęci zgrozą zadanej nam krzywdy, iż im się zdawało, że świat, skoro się lepijć o nię dowie, wyszle nam na pomoc legiony mścicieli. „Podobni do stada strzałami pomięszanych żurawi — mówi jeden z ówczesnych tułaczy — wszyscy czuliśmy jakby instynkt jesiennego odlotu, dla wrócenia w lepszą porę.“ A inny znów dzielny, Stary Żołnierz*) po czterdziestu latach wychodźstwa powiada: „Niejeden z nas, gdyby przeczuwał, że ta droga

uniwersytetów w Warszawie i Wilnie i szkoły krzemienieckiej; zabór ich biblioteki i gabinetów; zamknięcie Tow. Przyjaciół Nauk i wywiezienie do Petersburga jego zbiorów; konfiskaty majątków prywatnych; rozdawanie krzyża polskiego „*Virtuti militari*“ wojsku rosyjskiemu; nadanie Paszkiewiczowi tytułu „Książ Warszawskij“; zabieranie kościołów i kasata klasztorów; nieludzkie postępowanie z jeńcami; katowanie żołnierzy polskich w Kronsztacie i Janowie; etc. etc.

*) Mikołaj Kamiński. Wspomnienia Starego Żołnierza. Poznań 1872.

nasza była drogą na długie wygnanie bez chwały; nie-jeden, powiadam, może wszyscy, byliby się bili do ostatka i raczej zginęli, aniżeli przystali dobrowolnie na los, który nas czekał....“

Rzecz ludzka i naturalna, że w tym ruchu emigracyjnym i zmysł samozachowawczy musiał przemawiać, i nie dziw, że niejednemu chwilowe schronienie w krajach cywilizowanych mogło wydawać się ponętniejszem, niż koniec na śnieżnych pustyniach Sybiru lub wśród skał Kaukazu; może też romantyczna żyłka natury polskiej, chciwéj wrażeń i przygód, odezwała się w niejednej młodej duszy. Ale to pewna, że w wielkim ogóle wychodźstwa nikły drobniejsze względy, i że wszystkich przenikała myśl głębsza i uczucie wznioślejsze: troska o los Ojczyzny, żądza służyć jej i walczyć za nią jeszcze. Nie-nawisć obcego ucisku, ocalenie niepodległej myśli narodu, afirmacja praw jego do udzielnego bytu, protesta-cja przeciwko krzywdom — oto były wyższe pobudki, dla których jak przed 38 laty tak i teraz, Polacy rzu-cali kraj i wychodzili w dal, na obczyznę. Nadzieja, ta nieugaszona a tak zawodna nadzieja serc polskich, jak błędne światło, wśród posepnego zmierzchu i wśród dróg nieznanych, wyprowadzała ich na tę pielgrzymkę.

Gdy nad grobem ojczyzny cała Polska płacze,
My z drogiej ziemi przodków wygnańcy, tułacze,
Idziem na świat szeroki, by ścigać nadzieję
I łzami opowiadać smutne nasze dzieje...

Teraz dążym wiedzeni świetną Francyi gwiazdą,
Białopióremu orłu nowe uwić gniazdo,
Byśmy go jeszcze kiedyś, może w krótkiej chwili,
Na mściciela ojczyzny krwią swą wykarmili.

Tak marzył i śpiewał w przeddzień wyruszenia
w drogę jeden z młodych poetów obozowych.



V.

Nastąpił epilog nieszczęsnego dramatu. Ujrzano niezwykle w kolejach ludzkich widowisko: Szczery głośny hołd, oddany sprawie czystej, ale w upadku. Od brzegów Odry aż poza Atlantyk powionął głos żalu i jakby czci pośmiertnej, okazanej temu, czego nie zaćmiły ani gromy, ani gruzy, ani własne nasze błędy i grzechy: wrodzonej nam miłości ojczyzny i niezrównanemu męztwu żołnierza naszego. Obszarpany mundur wojaka polskiego zajaśniał jakby w blasku apoteozy. Nie tylko we Francyi ale i gdzieindziej — w Belgii, Szwajcaryi, Anglii, Norwegii, Ameryce — poruszyło się współczucie dla zwyciężonych i stawały komitety na rzecz wychodźców; w Niemczech zaś objawił się istny wybuch zapalu i uwielbienia dla Polski i Polaków.

Tak jest w Niemczech — bo w tej krainie poważnych uczonych i myślicieli, w epoce, o której mówimy, nie panował ów duch wyłączności, nietolerancyi i ten „dogmat nienawiści“, który ogarnął Niemcy równocześnie z ustaleniem się w nich pruskiej supremacyi i ze wzrostem ich państwowej potęgi. Ówczesny liberalizm niemiecki — młody, szczery, szlachetny w swych marzeniach, zgoła nie był podobny do dzisiejszego, do owego liberalizmu sfalszowanego, który przeniewierzywszy się własnemu pierwiastkom, stał się aliantem silniejszego przeciw słabemu, jurgielnikiem „złotego internacjonalu“ i chętnym sługą siły depczącej prawo. A idea narodo-

wości, wyrastająca przed pięćdziesięciu laty na gruncie uszanowania każdego organizmu narodowościowego, mającego w sobie normalne warunki życia i rozwoju — jakże się różni od tego jak ją obecnie w Niemczech praktykują.

Dzisiejsi koryfeusze niemieccy, postawiwszy „państwowość“ ponad społeczeństwo i wszelkie inne jego cele, zasadę narodowości wykrzywiają na jakiś wybujały a drapieżny nacjonalizm, i gdy z jednej strony dla siebie wyzyskują ją aż do najskrajniejszych konsekwencji, z drugiej strony, innym mniejszym i słabszym narodowościom, odmawiają prawa bytu i cynicznie wskazują je na zaginięcie i wytopienie.

Co za dni wszechmocnego kanclerza berlińskiego uciemieża się i prześladowuje w Polaku jako niebezpieczna i występna agitacja, to w epoce Rotteck'ów, Welcker'ów, Blum'ów, Hecker'ów szanowano w nim jako cnotę. Podówczas przed Niemcami Polak uzmysławiał ideę walki za wolność i narodowość; z sympatycznym podziwem patrzyli oni na bohaterskiego żołnierza, wstrząsającego przez dziesięć miesięcy potęgą despoty, którego ciężka dłoń dawała się czuć i światłej ojczyźnie Schiller'a i Goethego. A gdy ten szermierz upadł w nierównym boju, społeczność niemiecka głęboko westchnęła i uczuła potrzebę uczcić jego nieszczęście.

W samych Prusiech, gdzie władze były nam stanowczo nieprzyjazne, od prywatnych mieszkańców, od kobiet, doznawali Polacy wiele uprzejmości i dobroci. Zeznawały to dziękczynne oświadczenia, umieszczane przez nich po gazetach w chwili odjazdu. „Nigdy nie będziemy się skarżyć na obywateli Prus Wschodnich — zapisują cytowane już „Notatki oficera“ — z którymi obcowaliśmy kilka miesięcy w największej zgodzie; owszem miłe nam zawsze zostanie wspomnienie dobroci ich serca

i gościnności.“ *) Powiadano, że w samym Berlinie wśród rodziny królewskiej ukrywały się niejaki dla nas sympaty; przypisywano je bratu stryjcznemu króla X. Frydrykowi, zwanemu dysseldorskim, oraz ówczesnemu następcy tronu. I sam król, jak już nadmieniliśmy przeciwny był gwałtownemu obchodzeniu się z żołnierzami, bo też musiała mu nasuwać się uwaga, że tym samym uczuciem, które popchnęły Polaków do niewczesnego wybuchu, on zawdzięczał swój tron i odrodzenie swego Królestwa.

W Elblągu mieli Polacy kilku mieszkańców szczególnie im przychylnych. Znany był zwłaszcza z tego p. Jakób von Riesen; nie zrażał się, że miejscowi urzędnicy na niego krzywo i zbyt bacznie patrzyli **), komunikował się z Bemem, oddawał Polakom różne usługi, razem z Amerykaninem Howe zwiedzał chorych w szpitalu, i za jego to może przyczyną Elblążanie podali petycję wstawiając się za naszymi rodakami. Ale nawet pod sztywnym uniformem pruskim, gdzie niemiłosierna

*) Nadmienimy tu, że kiedy nieco później, w 1832 r., wytoczono proces wszystkim Poznańczykom, co należeli do powstania, to publiczność w Prusiech patrzyła na to niechętnie. Sądy ociągały się z przyzwaniem obwinionych i prawie jednogodnie oświadczyły rządowi, że nie można ich sądzić na podstawie rozkazu gabinetowego. Utworzono wtedy w Wschowie osobny dla tej sprawy trybunał (*Stadt- und Landgericht*.)

**) W liście pod datą 1 marca 1832, pisze on do generała Bema: „Zresztą nawet w mieszkaniu mojem otoczony jestem szpiegami, jak to nie dawno odkryłem. Takie haniebne rzemiosło, odkąd jesteście prusakami, nigdy tu się nie praktykowało. Byłoby niesłusznem rząd nasz o to obwiniać, jest to tylko zła i głupia gorliwość służby (*der schlechte dumme, Dienstfeifer*) niektórych niższych urzędników, którzy tym sposobem chcą się odznaczyć.“ (Rękopis w Zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu).

„Staats-Raison“, rzekoma racja stanu, nie wyziębiła do szczytu tkliwszych uczuć, Polacy odkrywali nie raz spółczujące im serca. Jenerał Zöppelien, sam osiwiaili w bojach za Ojczyznę, kiedy przyjmował Rybińskiego na granicy, okazał sympatyczną i szlachetną postawą, że umie uszanować nieszczęście walecznych. Komendant twierdzy Weichselmünde obejściem swem znać zjednał wdzięczność Polaków, kiedy ci mu na pożegnanie złożyli puchar srebrny. Porucznikowi v. Buttler przeprowadzającemu 13 kolumnę od Królewca do Eisenach, przy rozstaniu się wręczono pierścień złoty z listem dziękczynnym; innemu oficerowi, porucznikowi v. Goltz 11 kolumna, dojechawszy wspólnie aż do granicy francuskiej, ofiarowała na pamiątkę parę pięknych pistoletów ze stosownym napisem. A czy podobnych przykładów nie było i więcéj, tam, gdzie ludzie do ludzi się zbliżyli, gdzie lepsze struny ich duszy o siebie się potęrciły?

Już w tak zwanéj prowincyi saskiej, należącój do Prus (wcielonej do nich dopiero od roku 1815), coraz lepsze usposobienie publiczności czuć się dawało Polakom. Ale począwszy od granicy Królestwa Saskiego i daléj, w środkowych, południowych i zachodnich Niemczech, nastrój podnosił się do wysokiéj nuty gorącego entuzjazmu. Ruch wychodził od klasy najoświeceńszéj i popierany był głównie przez warstwy średnie społeczeństwa, przez profesorów, literatów, prawników, księgarzy, kupców itp. W mgnieniu oka utworzyło się mnóstwo kół i komitetów dla podejmowania i wspomagania wychodźców polskich. Oto są znaczniejsze miejsca, gdzie takowe stały: Altenburg, Braunschweig, Baireuth, Bremen, Augsburg, Culmbach, Calv, Darmstadt, Drezno, Eisenach, Esslingen, Frankenthal, Frankfurt nad Menem, Freiburg (komitet damski), Fürth, Gera, Gotha, Göppingen, Hanau, Hanower, Heidelberg, Hof, Jena, Kaisers-

lautern (damski), Karlsruhe (damski), Kiel, Laar, Landau, Lipsk, Lubeka, Mannheim, Moguncya (komitet pańien), Monachium, Neuburg, Norymberga (damski), Pforzheim, Plauen, Rastatt, Ratysbona, Spir, Stuttgart, Tübingen, Türkheim, Ulm, Wildbad, Würzburg, Zweibrücken.

Zważając, że prawie cała emigracya przeszła przez Niemcy i że wszyscy potrzebujący otrzymali hojne wsparcia, użyte przez te komitety sumy musiały być nie małe.

Wyszedszy z Prus, od samėj granicy saskiej, Polak mógł już dostać się do Francyi, wcale nie sięgając do tułaczj kalety: popasy, noclegi znajdował wszędzie bezpłatnie; opatrzywszy jego potrzeby odsyłało go z miasta do miasta i zaśpiewano mu na drogę: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Pieśń ta była w Niemczech prawie równie popularną, jak między nami samymi. Miasta i miasteczka prześcigały się w gościnności dla Polaków. Za ich przybyciem miejscowość przybierała postać i ruch świąteczny; na twarzach mieszkańców malowało się niezwykle ożywienie. Nie tylko o ich potrzebach pamiętano, ale starano się również ich rozweselić i uświetnić ich pobyt. W wielu miejscach spotykano Polaków tłumnie, uroczystie, z chorągwiami, ze śpiewami lub muzyką, przemowami i wierszami okolicznościowemi, wystrzałami z moździerzy, okrzykami: „Niech żyje Polska! Niech żyje wolność! Precz z tyranami!“

Gdy Polak wstąpił do sklepu jakiego, za przedmiot wybrany często kupiec wzdragał się przyjmować zapłatę. Na ulicach matki pokazywały dzieciom Polaków i kazały biedz ku nim i ściskać im ręce. Wieczorem iluminowano domy, wystawiano transparenty, wyprawiano dla nich koncerty, bale, „reduty“, sute — niekiedy nawet zbyt sute — libacye i hulanki. Pod oknami wyższych oficerów polskich urządzano serenady, a gdy się pokazali

w teatrze lub na innem publicznem miejscu, witano ich grzmiącemi oklaskami i wiewatami. Przy odjeździe żegnano naszych rodaków z rozczuleniem, zaklinano się, że Polska odżyć musi i że odżyje za pomocą Niemców, proszono o ładajskie upominki, rzucano im kwiaty, życzenia, błogosławieństwa.

W Lipsku kolumny idące z Prus spotykały pierwsze owacye i tłumne, świetne przyjęcie; tutaj działał jeden z głównych i najczynniejszych komitetów. Składali go: Fryderyk Brockhaus, Bodenhausen, Bergmann, kapitan Brochowski, radzca dr. Kind, radzca dr. Seeburg, prof. Schellwitz, dr. Stieglitz, dyrektor Streubel i profesor dr. Wendler. Już 16 listopada odezwał się on, wołając o pomoc dla „mężów, którzy z zakrwawionemi sercami opuścili teatr walecznych czynów, i spieszą przez Lipsk szukając pod łagodniejszym niebem schronienia, którego im Ojczyzna odmawia.“

Ofiary wnet zaczęły nadpływać, a nie tylko z okolicy, ale i z dalszych miejsc, jak n. p. z Bremy, Lubeki Kilonii, Brunświku*), kędy Polak rzadziej przechodził; wielka ich część pochodziła od ludzi niezamożnych, biednych, ale znać, że składana była z ciepłem i rzewnem uczuciem; tak n. p. na wykazie spotykamy datek „Od kilku głuchoniemych, gorących przyjaciół Polski“, inny „Od klasy małych dziewcząt szkoły mieszczańskiej“, lub „Od kwaków z osady Herrnhuth“, z dopiskiem: „Boże, pomóż biednym Polakom!“

W niespełna 10 tygodni, od 8 stycznia do 13 marca, przeszło przez Lipsk 2130 Polaków, którymi, w ten lub ów sposób, komitet się zajmował; z tego łatwo pojąć, że miał on nie mało zatrudnienia. Jedni członko-

*) Tutaj byli czynnymi księgarz Vieweg i jego syn F. H. Viewege który w r. 1887 umarł w Paryżu.

wie, jak Brockhaus i Bergmann zbierali ofiary i utrzymywali fundusze, drudzy trudnili się sprawianiem i rozdaniem odzieży, ci rozmieszczeniem po oberżach, inni przyjmowaniem meldunku prywatnych, kwater dla wędrowców, inni znów załatwiali dostarczenie powozów oraz sprawy policyjne i paszportowe; dr. Schellwitz był sekretarzem komitetu. Artyści i dziennikarze z gotowością przychodzili mu w pomoc. Na dochód komitetu odbył się 4 stycznia koncert w słynnym Gewand-Haus pod kierunkiem dyrektora Polenz; sprzedano tysiąc kilkaset biletów, a sala i przedsionki były przepełnione. Grono muzyczne „Euterpe“ urządziło następnie drugi koncert, stowarzyszenie zaś „Literarisches Museum“ wydało wiersz Mosen’a *Die letzten zehn vom vierten Regiment*, z muzyką Augusta Schuster, i sprzedawało go na rzecz Polaków. Pisma publiczne nie szczędziły zachęty artykułami, ogłoszeniami i wierszami. Tygodnik „Unser Planet“ obfituje zwłaszcza w te ostatnie i podaje różne rymowane utwory jak n. p. „Des Polen Engel“ — „Der Waller durch Polen’s Schlachtgefilde“ — „Rybiński und seine Getreuen auf preussischem Gebiet“ itp., a gazeta „Leipziger Tageblatt“, na powitanie Nowego Roku 1832 ogłasza strofy, zaczynające się wierszami:

Seht ihr dort das Roth im Osten?

Das ist Polen’s Heldenblut!

Damy lipskie takż były czynne i urządziły na korzyść komitetu wielką loteryą robót kobiecych.

Przez kilka miesięcy swego trwania komitet lipski wydał 10,405 talarów i między innemi sprawił 253 płaszczów, 206 par spodni, 460 koszul, 562 par butów itp., a na lekarstwa użył tylko 6 tal. i 12 sgr.

Mimo tak znacznej liczby Polaków wędrujących

przez Lipsk, przejście ich przez to miasto odbywało się porządnie i nie powodowało starć i trudności z władzami; owszem, ze strony rządu, który na ten czas wydelegował do Lipska nadzwyczajnego komisarza, komitet doznawał wszelkich możliwych ułatwień, a kiedy pewne pismo błędnie doniosło, że niektórym rodzinom polskim w Lipsku zostało odmówione schronienie, urzędowa gazeta „Leipziger Ztg.“, dała tej wiadomości oficjalne, energiczne odparcie.

Przybywające z Prus kolumny spotykane były przez komitet lipski we wsi granicznej Taucha, gdzie na nie czekały cztero i sześciokonne wozy oraz oficerowie sascy, którzy tu się do nich przyłączali i potem przeprowadzali je aż do Lützen. Wjazd do samego Lipska zwykle był huczny. Gwardya mieszczańska w mundurach, poprzedzona przez 24 pocztalionów grających na trąbkach, występowała na ich spotkanie. Młodzież, akademicy, wyrobnicy wyprzęgali konie i sami ciągnęli Polaków przez ulice, wśród ciżby mieszkańców rozmaitego wieku i stanu. Otoczeni tłumem stawali na jednym z placów miasta; tam znoszono ich z powozów, ściskano jak braci i rozmieszczano w najlepszych oberzach lub domach prywatnych.

Niektóre kolumny zatrzymywały się po kilka dni w Lipsku; Polacy szli z pielgrzymką do pomnika księcia Józefa Poniatowskiego i na pole bitwy z roku 1813; wieczorami ugaszczano ich biesiadą, ucztą lub balem, w salach przybranych w dekoracje zastosowane do Polski i Polaków.

Wiadomo każdemu, że uczucie, które w danej chwili ożywia wielką masę ludności, na zebraniach, przy wystąpieniach tłumnych, dziwnie wzbiera, rozżarza się i podnosi niekiedy do niesłychanego stopnia zachwyty i uniesienia. Psychologiczny ten fenomen powtarzał się

niejednokrotnie po drogach kędy szli Polacy, i wyda-
rzały się czasami objawy gościnności trudne do opisanja
i nie mniej trudne do uwierzenia. Poprzedzało Polaków
powszechne zajęcie podczas trwania walki, poprzedzała
sława świetnego męstwa; zjawienie się tych nieustra-
szonych zuchów, znanych dotąd tylko z tysięcznych opi-
sów, a wychodzących prawie wprost z ognia bitew mor-
derczych, obok sympatii, budziło i żywą ciekawość.
Któż nie wie, że działy marsowej od wieków i wszędzie
służy przywilej wywierania szczególnego uroku na płeć
piękną. Nie darmo, podobno, powiada starodawna pio-
senka :

Ułani, oj ułani, malowane dzieci,

Niejedna panienka za wami poleci.

Owe ułańskie giętkie postacie o dziarskich a ugrze-
cznionych ruchach, z chmurą smętku na czole a uprzej-
mym uśmiechem na ustach, miały właściwy sobie wdzięk.
Ci młodzi Sarmaci, co poetycznej wyobraźni niejednę
jasnowłosęj główki przedstawiali się jakby bohaterowie
ballad rycerskich, co dzisiaj witani, żegnani jutro, zni-
kali na zawsze w niepewnościach tułactwa, nie mogli
nie poruszać tkliwej duszy córek Germanii. To też nasi
wojacy, którym w nagrodę za krew przelewaną los od-
mówił ojczystych wawrzynów, teraz w obcym kraju zbie-
rali obfite plony niezapominajek, któremi ich darzyły
czułe cudzoziemki. „Nie wspominajcie o naszych ofia-
rach, wy silni — mówiły one do Polaków. — Nie za-
wstydzajcie nas za to, że my tylko niepotrzebne ozdoby
ofiarujemy walecznym, którzy za nas, za wolność Eu-
ropy walczyli, jak gdyby słowo „śmierć“ było im nie-
znane.“ *) W wielu miejscach stało się niejako zwycza-

*) List komitetu panien (Mädchen-Verein) w Mogun-
cyi do Komitetu Narodowego w Paryżu, z dnia 1 lutego
1832 r.

jem lub raczej obrzędem, że publicznie na zebraniach, wobec rodziców, krewnych, przyjaciół, młode kobiety — mężatki i panny — podchodziły do polskich wygnańców i ściszały ich mówiąc: „Drogi bracie! Nadzieja! Wytrwałość!“ *) Był to jakby symbol uroczystego uczczenia waleczności nieszczęśliwej, jakby najwyższy znak braterstwa dwóch narodów.

Zdarzało się, że serdeczni gospodarze ofiarowali gościowi polskiemu, by osiadł stale przy ich ognisku, połączwszy się z nimi węzłem rodzinnym. Nie wiemy, ażali który z naszych poruczników uwiązał w tych jedwabnych siłach Hymenu; znane nam tylko inne przykłady, gdzie nęcąca przyszłość — acz z żalem może — została odsunięta, bo w pojęciu tych zakonników swego rodzaju, śluby wyższe wzywały ich gdzieindziej. „Musimy spieszyć — odpowiadali oni — nie wolno nam ostać. Nam gloszą, że Moskwa już w wojnie z Francuzem i że legiony tylko na nas czekają.“ I szli dalej na to hasło, które było pierwszym w szeregu tylu innych, następnych złudzeń; i rzucali dach gościnny i życzliwych przyjaciół i słodkie przyjaciółki jednej doby, którzy aż łzami w oczach żegnali ich i na progu domu, i u bramy miasta, i za miastem jeszcze. A wśród ogólnego rozczerwienia i ich samych żalność ogarniała; na widok tych dobrych ludzi, tych rzewnych kobiet i dziewic, stawały im na myśli własne matki i siostry, i stary ojciec, i zagroda domowa, i pola nad Wisłą lub lasy nad Niemnem, i cała ta ziemia opuszczona, a droższa nad wszystkie...

I oto — serce się ścisza, głos w piersi więźnie i po opalonej twarzy zahartowanego wojaka, spływa kropla daremnie wstrzymywana.

*) List Bohdana Zaleskiego z Strasburga 19-go lipca 1832 r.

VI.

Główna droga, którą polskie kolumny posuwały się z Prus do Francyi, wiodła na Frankfurt n. M. i dalej na Worms, z kąd jedne z nich szły na Metz, a drugie przez Landau na Strassburg. Jadący nie kolumnami, z Frankfurtu obierali raczej trakt na Darmstadt, Heidelberg i Rastadt. Oto jest szczegółowa marszruta jednej z kolumn z Królewca aż do granic Francyi: Królewiec (wyjazd 3 stycznia) — Brandenburg — Braunsberg — Elbląg — Malborg — Tczew — Stargard — Czersk — Chojnice — Jastrau — Wałcz — Friedberg — Landsberg — Kistrzyn — Frankfurt n. O. (18 stycznia) — Beeskow — Lübben — Luckau — Herzberg — Torgau — Lipsk (25 stycznia) — Lützen — Naumburg — Eckartsberge — Buttstadt — Erfurth — Gotha — Eisenach — Vacha — Hersfeld — Alsfeld — Friedberg — Frankfurt n. M. (17 lutego) — Oppenheim — Worms — Frankenthal — Speier — Candel (wieś graniczna) — Lauterbourg (Francya) — Bischwiller — Strasbourg (24 lutego).

Cała ta podróż zabierała zwykle dni 40 do 50-ciu. Oprócz tego ciągnęli Polacy od pruskiej granicy i innemi drogami, np. na Plauen — Hof — Baireuth — Bamberg — Würzburg oraz przez Hildesheim i Hanower, lub przez Göttingen i Sollingen na Belgią, i wtenczas wstępowali do Francyi przez Valenciennes.

Innemi drogami, oczywiście, przybywali do Francyi

wychodźcy nasi z Austrii dążący; i oni szli w części kolumnami, ale mniej licznymi i szczuplejszemi. Przyłączmy się do jednej z nich, by bliżej jeszcze przypa-
trzyć się téj dziwnéj pielgrzymce. Ułatwią to nam kartki, które mamy przed sobą, kartki zawierające skrętne, zebrane za świeżéj pamięci zapiski *) jednego z ówczesnych wędrowców. Pójdziemy więc za nim, przyspieszając jednak kroku, skracając niekiedy drogi i omijając niektóre popasy i etapy. Oto jest jego opowiadanie, które, streszczonym sposobem, postaramy się tu oddać:

„Okolo 10 grudnia nadeszły z Wiednia do Iglawy rozkazy, abyśmy po raz ostatni zdeklarowali się, czy chcemy wrócić do Polski, pozostać w Austrii lub wyjść za granicę. Długo wahałem się — powrót na łono rodziny miał pociąg niewypowiedziany, ale obawiałem się zemsty cara i poniżająca rota podania do Paszkiewicza wstręt mi sprawiała. W pierwszym więc entuzjazmie zażądałem paszportu do Francyi. Ale kiedy wróciłem do siebie, kiedy wspomniałem, że dobrowolnie zrzekłem się ojczyzny mojej, że może już jój nie ujrzę — wyznaje — łzy puściły mi się z oczu. Twardy jestem do łez i od wielu lat nie pamigtam, abym płakał, ale w téj chwili płakałem jak dziecko. Kiedy tak siedziałem nieporuszony, wchodzi Zakrzewski, jał badać, pocieszać, ale i on sam, jak drugi raz spojrzał mi w oczy, gorzko tak-
koż zapłakał... Pobiegliśmy na ratusz, ażeby odwołać deklaracyą, ale, niestety, już było zapóźno — deklaracye odeszły do Wiednia. Stało się — idźmy za wolą losów, my zgińmy marnie, bodaj tylko Polska wolną była.

*) J. M. Mazurkiewicz: Krótki rys Pamiętników podróży z Galicyi Austryackiej do Francyi południowej, w r. 1832 odbytej. Spisany w czerwcu 1832. (Rękopis w Bibliot. Polskiej w Paryżu).

Dnia 16 grudnia, po odbytych formalnościach, znów z tą niegodziwą eskortą wojskową, ruszyliśmy na Neustein, drogą przez południowe Czechy. Wieczorem 20 grudnia stanęliśmy w Budweis. Wygodnie i bardzo tanio pomieszciliśmy się w kilku hotelach. W hotelu Wiedeńskim, gdzie stałem, doskonała kolacya z Niemcami ucielesnionymi — dziewczyna przy arfie śpiewa po niemiecku „Jeszcze Polska nie zginęła“ — hojność Polaków — Czechy się dziwili, żeśmy tak suto pieniędzmi rzucali. — Tutaj otrzymaliśmy paszporta do Francyi, nadto wypłacano każdemu z osobna po 246 ewancygierów na kosztą aż do granic Francyi. Dwa dni spędziliśmy w tem pięknem mieście; hulanka, birbantka, hazardowna gra naszych, po otrzymaniu tyle pieniędzy. Uprzejmi mieszkańcy, a jeszcze grzeczniejsze miłe Czeszki. Dalej na bezpłatnych furmankach jedziemy przez Klattau, Neugedaus, Thauss i Klentsch. W dwóch ostatnich miejscach spędziliśmy 26 dni; trzeba było przeczekać, bo w kwarantanie, na granicy bawarskiej, nie było miejsca. W Thauss wszyscy mieszkańcy byli dla nas bardzo serdeczni; z kolegą Adamonisem, z 3-go szaserów, stałem u starej poczciwej wdowy Czeszki; jej macierzyńskie do mnie przywiązanie; piękna Elżbieta Pr.....; romans, pamiątki, czułe pożegnanie. Nareszcie 24 stycznia i my wyruszyliśmy do granicy bawarskiej. Kolumnę naszą, z 24 oficerów, pod eskortą kirassyerów czeskich odwieziono do wsi Hölili. Tutaj, po odbyciu jeszcze na komorze niektórych formalności, skończyła się opieka cesarza Austrii.

• Zaprowadzono nas na drugą stronę granicy, do zakładu kwarantanowego. Było to obszerne miejsce, opalissadowane do koła, z zabudowaniami w pośrodku i małą przestrzenią do przechadzki. Zewnątrz palisad rozstawione czaty wojskowe. Przy wnijsciu odebrano papiery i wszelkie efekta, które po okadzeniu oddano nazajutrz. Potem zamknięto nas w małych, ciasnych izdebkach po

12 razem. Nie było jednak tak źle jak mówiono; czystość i usługa regularna, pościel wygodna, ogień cały dzień w piecu i na kominie, życie tanie. Jedzenie podawano przez otwory we drzwiach na długich łopatach. Nudne tylko było codzienne okadzanie osób i rzeczy, i oględziny doktora. Odbywał z nami kwarantanę młody Poniatowski, syn naturalny ks. Józefa; jest kapitanem w naszym wojsku, a poprzednio, jako porucznik, służył we Francyi i odbył kampanię w Algierze.

Po upływie pięciu dni, udaliśmy się do urzędu zdrowia, gdzie stary, dekorowany kapitan bawarski i doktor ordynujący przyjęli nas po przyjacielsku i wydali pasporta nasze i świadectwa. Tu po raz pierwszy usłyszeliśmy szczerzy głos życzliwości i uwielbienia dla polskiego imienia. Jakże to było miło po twardem austriackiem traktowaniu. Tego samego dnia, już bez straży, konwoju, policyi, udaliśmy się do Waldmünchen, gdzie dopełniliśmy wizowanie naszych papierów; grzeczność i uprzejmość urzędników; młodzież wybiegała wołając: Niech żyją Polacy! Ugodziliśmy furmanki aż do Ratysbony i ruszyliśmy przez Rötz, Neunkirchen, Brück. W Nittenau nocleg; chciwość oberżysty; ładna Basia; śnieg i mróz. — Nazajutrz stanęliśmy w Ratysbonie; na rogatkach stojący oddział wojska oddawał nam honory mieli na to rozkaz; odtąd przez całe Niemcy aż do Francyi, wszędzie to czyniono. Tu znaleźliśmy pierwszy komitet dla wspierania Polaków. Uprzejmość, radość i szacunek Bawarczyków; teatr bezpłatny; życie doskonałe w Hotelu Polskim, choć nieco przydrogie; portrety naszych generałów na ścianach w sali jadalnej; towarzystwo z oficerami bawarskimi. Komitet miejscowy daje nam furmanki aż do Augsburga i każdemu talara na drogę. — Ruszamy dalej na Abbach, Abensberg (dobre przyjęcie, śpiewy), Geisenfeld, Kühlebach; przenocowawszy w Aichach, gdzie stary oberżysta-pocztmajster zdarł nas niemiłosiernie pod pretekstem, że zajmowali-

śmy stacją, w której poprzednio mieszkał gen. Ramorino; nazajutrz wśród dnia przybyliśmy do Augsburga. Przejechaliśmy całe miasto bez obudzenia najmniejszej uwagi. Wygodny hotel; spaliśmy w pierzynach po uszy. Redaktorowi tutejszej gazety, znanej w całej Europie, car Mikołaj udzielił niedawno order św. Anny za to, że nie żałował pocisków na nas. I tutaj komitet polski; dał nam bilety na przejazd do Ulmu i po talarze każdemu. Chcieliśmy spocząć jeden dzień w tem mieście, ale władze nie zezwoliły. Wyjechaliśmy więc nazajutrz rano w wygodnych komitetowych koczach, po czterech w każdym.

Wieczorem o 8 mój, wśród nocy ciemnej i dżdżystej, stanęliśmy w Ulmie. Ugrzeczniejsi strażnicy na rogatkach wręczyli nam zawiadomienie od komitetu, gdzie na nas czeka kwatera. Zawieziono nas do wspaniałego hotelu, w środku miasta. Zaledwie zgniecione członki przy kominku wyprostować zdołaliśmy, wszedł zacny p. Moser, prezes komitetu, i najuprzejmiej nas powitał. Za nim, w kilka minut, przyszło mnóstwo innych obywateli. W ogromnej sali zastawiono stoły, do których zasiadło przeszło 250 osób i rozpoczęła się uczta i porządna pijatyka, która trwała aż dobrze po północy. Uprzejmi nasi gospodarze byli nam niezmiernie radzi: śmiali się, płakali, śpiewali; były mowy, toasty, deklamacje, pochwały Polaków, zapisywanie imion naszych do księgi komitetu. Siedziałem przy p. F. M. Stackel, kupcu i bankierze w Ulmie, który mnie usilnie zaprosił, abym nazajutrz był u niego na śniadaniu. Nazajutrz od rana samego hotel napelnił się tłumem odwiedzających nas. W ulicach przyległych ruch niezwykle i okrzyki: Niech żyją Polacy! Damy wyglądały z okien i powiewały chustkami, jak się który z nas pokazał. Mój łaskawy p. Stackel od 7-mój już czekał na mnie w hotelu. Zaledwie się ubrał, porwał mnie całując, i szczęśliwy, jakby jakiego króla złapał, prowadził mnie do swego

domu. Zmieszalem się nieco, zastawszy tam kilkanaście dam zebranych. Obstały mnie i jeły się wypytwać z najżywszem współczuciem. Nastąpiło żądanie pamiątek; guzika od munduru, kawałeczka wstążki od krzyża polskiego. Stary Stackel tak był uradowany, że swym dwom córkom kazał mię pocałować. Nie opuścił mnie już ani na chwilę, pokazywał ciekawości miasta, a kiedy się żegnał, wsunął mi w rękę rulonik złota. Nie mogąc mnie nakłonić do przyjęcia go, dał mi na pamiątkę fajkę w srebro okutą, i puszkę cygar. Opuściliśmy to przyjazne miasto przy okrzykach tłumu; komitet dostarczył bezpłatnych pojazdów aż do Freiburga i udzielił każdemu po 3 talary i po dwie koszule. Następny nocleg w Urach. Na drugi dzień koło południa zatrzymaliśmy się nieco w Münsingen, dla popasu koni. Ale na wieść, że Polacy przejeżdżają, w mgnieniu oka oberża napełniła się przyjaznymi Niemcami. Prośby usilne, ażebyśmy zostali na noc; wymawialiśmy się, że nie możemy nadużywać udzielonych nam pojazdów. Skończyło się tem, że musieliśmy przyjąć ogromne śniadanie; gotowe już konie wyprężono — i znowu toasty, śpiewy, pijatyka, entuzjazm, złośczenia Mikołajowi. Dopiero po kilku godzinach mogliśmy ruszyć dalej wśród rozczulenia i okrzyków, obsypani podarunkami: puszkami cygar, kapciuchami z wyborynym tytuniem, fajkami.

Pod wieczór stanęliśmy w Reutlingen. I tu wzruszające przyjęcie. Czekano już na nas. Wysłaniec na koniu, skoro nas nadjeżdżających spostrzegł, dał znać w mieście. Wnet zebrała się masa publiczności; wśród okrzyków i śpiewów wjechaliśmy do miasta; burmistrz i ławnicy witali nas. Zapal ogólny. Uczta wieczorna z toastami i mowami. Pod koniec jęj wchodzą dwie małe dziewczynki, ubrane w bieli, niosą chorągiew polską i składają nam wieniec z liści dębowych. W tej chwili wzruszenie nasze i entuzjazm gościnnych Niemców doszedł do wysokiego stopnia. Przyłączyły się

i damy z poważną panią Mobil, żoną prezesa komitetu na czele; obok mnie znalazła się młoda panna Karolina Weissen; ze zdziwieniem spostrzegłem, że wiedziała na pamięć imiona naszych generałów i miejsca bitew naszych, i wiedziała o wszystkich naszych dzielnych czynach. I dzień następny zeszedł na przyjęciach i bankietowaniu. Komitet ani słyszeć chciał o wyjeździe naszym. Zastaliśmy tu dr. Leopolda Müllera, który w kampanii polskiej był lekarzem batalionowym 12 pułku 1. Szczęśliwy! po wojnie wrócił do swęj matki. Dopiero trzeciego dnia po południu pozwolono nam jechać dalej. Komitet wydał nam po pięć talarów i po trzy koszule.

Tegoż samego dnia o zachodzie słońca przybyliśmy do Tübingen, gdzie, z powodu żeśmy w Reutlingen dłużej nad zamiar zabawili, oczekiwano nas już od dwóch dni. Publiczność, a zwłaszcza młodzież tutejszego uniwersytetu, wita nas z niesłychanym zapalem. Przeciśkalismy się przez istny tłok, żeby dostać się do hotelu. Za nami weszli członkowie komitetu polskiego, burmistrz, rektor i kilku profesorów. Prosili, abyśmy się zgodzili zamieszkać pojedynczo po prywatnych domach, nie zaś razem w hotelu, — a to w celu zapobieżenia jakimkolwiek ekscesom mogącym wyniknąć z wielkiego entuzjazmu bardzo podnieconej młodzieży. Mnie zaprosił do siebie szanowny Henryk Sigwert, profesor historii i filozofii. Światły ten człowiek znał dobrze historię i stan naszego narodu i tłumaczył mi lepiej jakbym ja to umiał uczynić, zasady, cele i upadek naszej rewolucyi; wielbił, co było godnem pochwały, wytknął co było błędem; badał o edukacyi u nas, o uczonych i literaturze. Kiedy tak bawilismy się zajmującą rozmową, studenci kupami, z pochodniami, śpiewając patryotyczne pieśni, wołając: „Niech żyją Polacy!“, chodzili po mieście i zatrzymywali się przy domach, gdzie który z nas stanął. Przyszli i do p. Sigwerta i prosili, by im pozwolił obaczyć

Polaka. Ściskali mi ręce, płakali, rzucali się w objęcia, złorzeczyli Moskwie i Prusom. Był między nimi wygnaniec Węgier, Fryderyk Schwarzwald, uczeń prawa; żądał pamiątki; dałem guzik i gwiazdkę porucznikowską ze szlify.

Już po północy udałem się na spoczynek, ale nie mogłem usnąć, tak byłem wzruszony wypadkami dnia i temi wszystkimi dowodami sprzyjania sprawie naszej. Zrana wszedł do mnie zacny p. Sigwert i nie śmiało mówi mi: „Ja głęboko spółczuję waszjej sprawie, jesteście wygnaniec — jam nie bogaty, ale proszę rozporządzać mną“. Dziękowałem mu, z całej duszy dziękowałem, i mówiłem, że jestem zaopatrzony, ale na pamiątkę przyjąłem pugilares z własnoręcznemi jego notami o Niemczech. Rozstaliśmy się ze łzami w oczach. O godzinie 10 wsiedliśmy do pojazdów; zdawało się, że cała ludność wysypuje się na nasze pożegnanie; młodzież akademicka rzuciła się wyprzegać konie; ażeby temu się oprzeć wysiedliśmy i szliśmy pieszo aż do bramy miasta; tutaj jeszcze przemówienia, wiwaty, rozrzewniające pożegnania i odjazd. I tu jak wszędzie komitet zaopatrzył nas dając każdemu po 4 talary. Tak więc całą drogę przez Niemcy odbywaliśmy zupełnie bez kosztu. Na noc do Horb; serdeczne przyjęcie, bal. Dalej Oberndorff, kraj wciąż górzysty i malowniczy; dzień jasny i mroźny; jedziemy szybko i wygodnie. Popas w Schramberg; uprzejmość księdza katolickiego i pastora ewangelickiego; ich wzajemny szacunek i przyjaźń; czule pożegnanie.

Wjechaliśmy w Księstwo Badeńskie. Nocleg w Hornberg, wśród gór Czarnego lasu (Schwarzwald); bankiet, toasty, kielichy aż późno w noc. Przez Elzach, Waldkirch o 8-mej wieczór stanęliśmy w Freiburgu. Trudno opisać radość i entuzjazm przyjęcia tego miasta. Skoro tylko wysiedliśmy zaczęli nadbiegać nasi przyjaciele. Prezes komitetu powitał nas słowami:

„Niech będzie błogosławiony dzień, w którym do nas zawitaliście waleczni Polacy.“ W pół godziny później obszerna sala hotelu zaledwie mogła pomieścić zebranych: starszych miasta, profesorów, urzędników i cały tłum akademików. Po uściskach i przemówieniach siedliśmy do kolacyi. Bankiet to był nie kolacya; trwał do północy, jak zwykle ze śpiewami, mowami i rżęsystemi toastami. Gdy nareszcie trzeba było spocząć, komitet odchodząc prosił, abyśmy się kilka dni w Freiburgu zatrzymali. „Jesteście pierwsi — mówili — którzy tędy przechodzicie. Całe miasto chce was widzieć i powitać.“ — Nazajutrz od rana masa ludzi koło hotelu. Zdawało się, że widokiem naszym nie mogli się nacieszyć: starcy wspierali się na kijach, matki podnosiły do góry małe dzieci, ażeby nas pokazać. Za każdym spotkaniem życziwe okrzyki. Była to niedziela i jakby dla większego uświetnienia dnia, niebo się zupełnie roz pogodziło i słońcem jaśniało. Wieczorem w teatrze przedstawienie umyślnie dla nas urządzone. Sami akademicy grali sztukę „Kościuszkę nad Sekwaną.“ Mimo podwojonych cen cały gmach przepełniony. Do wielkiej loży ubranej w dywany i wieńce laurowe, wprowadzono nas wszystkich razem. Za naszym ukazaniem się przyjęci zostaliśmy grzmiącemi i przeciągłemi okrzykami. Po skończonej sztuce odśpiewano hymn, ułożony umyślnie na ten dzień przez profesora Reichlina. Śpiew ten osobno wydrukowany, rozdany był w kilkuset egzemplarzach między publiczność, która chórem powtarzała ostatnie zwrotki. Po teatrze bal. Kiedy już zgromadzenie bardzo liczne zebrało się, przyszli po nas członkowie komitetu i przedniejsi obywatele miasta. Z wnijściem naszym orkiestra ozwała się polonezem i przy jego odgłosie po trzy razy oprowadzano nas dokoła sali, wśród oklasków i okrzyków „Niech żyją Polacy! Niech żyje Polska! Damy powiewały szarfami, chustkami, rzucały kwiaty przed nami. Była to chwila do głębi wzruszająca; pamiętać

ją będę do śmierci. Po raz pierwszy od opuszczenia ojczyzny uczułem się dumnym z imienia żołnierza, wygnańca polskiego. Bal był wspaniały; ogromna sala ustrójona była w trofea i w chorągwie polskie i badeńskie.

Dnia trzeciego koło południa pułkownik z oficerami 2-go pułku piechoty badeńskiej, tu garnizonem stojącego, przyszli oddać nam wizytę i zaprosić na koleżeńską biesiadę. O 4-tój udaliśmy się wszyscy razem na miejsce zebrania, położone na przedmieściu. Kiedy przechodziliśmy koło koszar, dano 21 wystrzałów armatnich, muzyka wojskowa zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła“, a żołnierze rażno wydawali na naszą cześć zwykłe okrzyki. Uczta trwała do 11-tój; poseł Grodecki, który był z nami, dzielnie odpowiadał na przemówienia i bardzo wymownie skreślił obraz naszej ojczyzny. Koło 9-tój, kiedy w najlepsze przy stole siedzieliśmy, kilkuset akademików z pochodniami, z muzyką, z chorągwią polską uwieńczoną laurem, podeszło pod okna i po długich okrzykach odśpiewało hymn na cześć Polaków, który dnia poprzedniego w teatrze słyszeliśmy. Wracając do miasta, nowe zdumienie. Iluminacya i pełno ludu na ulicach.

Czwartego dnia dopiero, 7 lutego o 1-ój po południu opuściliśmy to gościnne i przyjacielskie miasto, gdzie nas tak serdecznie, świetnie i tryumfalnie przyjęto, jak nigdzie. Otrzymaliśmy mnóstwo pamiątek i obfite prowizye wyśmienitych cygar i tytoniu. Byli tacy między nami, co wywieźli po kilka, po kilkanaście fajek w upominku. Komitet dał na kolumnę pewną ilość białizny i odzieży, oraz pewną kwotę pieniędzy. Wyruszyliśmy z hotelu „Zum Goldenen Engel“ wolnym krokiem przez miasto; na czele postępował prezes komitetu niosąc chorągiew polską; okna od ulicy wysłane były kobiercami, i z nich kobiety rzucały na nas kwiaty i wstęgi. Ze wszystkich stron słano nam serdeczne słowa pożegnania

i życzenia, które nam do głębi duszy trafiały. Wszyscy byliśmy poruszeni i mieliśmy łzy w oczach. Przy bramie miasta zebrała się młodzież akademicka i chciała wyprząść konie, czemu prawie gwałtem oprzeć się musieliśmy. Nareszcie po ostatnich wiwatach i wystrzałach, ruszyliśmy drogą, która nas coraz bardziej ku Renowi zbliżała. Kalwakata nasza składała się aż z 60 pojazdów, a oprócz tego towarzyszyło jej kilkudziesięciu członków gwardyi obywatelskiej na koniach, by nas aż do granicy francuskiej przeprowadzić. — Śute przyjęcie na popasie w Grötzingen zatrzymało nas aż do zmierzchu, a kiedy siedliśmy do powozów postrześliśmy ze zdziwieniem, że cała droga, wiodąca do Mülheim, oświecona była pochodniami. Wieśniacy zwabieni taką nowością przybiegali, stawali nadedrogą i witali nas radośnie.

Mülheim zastaliśmy całe w iluminacyi; tu i owdzie transparenty z Orłem i Pogonią i napisami: „Es leben die Polen!“ „Hoch das Vaterland Polen!“ — okrzyki, które od Bawaryi prawie nie przedstawaliśmy słyszeć. Z powozów wprost nas wprowadzono do sali, gdzie już ze 400 osób było zgromadzonych. Dwie śliczne dziewice, panny Judith i Mary Kraft, w imieniu dam miasta, złożyły nam wieniec dębowy. Serdeczny entuzjazm; odcięte nasze guziki, wzięte na jedwabne wstążeczki, damy zawieszały zaraz na szyi. Zabawa trwała aż do rana. — O południu wyjechaliśmy w takim samym, jak dnia poprzedniego orszaku i zawsze z naszymi gwardyakami freiburgskimi. Nad wieczorem stanęliśmy w Lörrach; bankiet 300 osób, a potem bal; na nim dużo szlachty okolicznej. Ztąd do Solury, w Szwajcaryi, gdzie Kościuszko życie zakończył, tylko 7 mil; wielu też temi czasy wygnańców polskich zbaczało tam, aby złożyć hołd ceniom wielkiego patrioty. We wsi granicznej Kleiheimingen kończyły się dla nas gościnne i przyjazne Niemcy i ten piękny a tak serdeczny kraj Badeński. Jak tam, nigdzie nas tak przyjaźnie i tak świetnie nie przyjmowano. Dal-

sza droga prowadziła nas na chwilę przez Bazyleę i kątek Szwajcaryi.

W Bazylei obojętnie i zimno na nas patrzano, nikt do nas nie przystąpił i nie witał. Mówili nam Badeńczycy, że w tem zamożnem mieście dużo zwolenników Mikołaja. Krótko tam bawiliśmy i zjadłszy w hotelu Genewskim ostatni, wesoły obiad z naszymi towarzyszami badeńskimi, zaraz ruszyliśmy dalej do bliskiej już granicy franeuzkiej.

Niebawem też ukazała się oczom naszym Francya, ta upragniona Francya. Było to dnia 9 lutego o godzinie 3. Wstąpiliśmy do niej w miasteczku St. Louis, punkcie wskazanym nam na to w naszych paszportach, wydanych przez ambasadę francuzką w Wiedniu. Zaczni nasi Badeńczycy odprowadzili nas jeszcze do oberży i tam po serdecznych uściskach, po najgorętszych życzeniach ro stali się z nami.“



VII.

Wylew sympatyi dla Polaków był w Niemczech istotnie tak powszechny i porywający, że władze państw i państewek Rzeszy, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, nie starały się, czy nie mogły, stawiać mu tamy. Niektóre nawet dwory niemieckie, ulegając ogólnemu prądowi, okazywały naszym przechodniom niekiedy uprzejme usposobienie. Między innymi książę Ernest Gotajski musiał żywić dla Polaków pewien interes, jeśli sądzić mamy z opisu gościnnej bardzo uczyty, przygotowanej na zamku książęcym w Gocie, dla jednej z przechodzących kolumn. Już na granicy księstwa została ona powitana i wprost do pałacu zaprowadzona. W dziedzińcu straż wystąpiła i przy odgłosie trąbek i bębnow prezentowała broń. W wielkiej sali jadalnej zastawione stoły, czekały już na gości. Kiedy po obiedzie oprowadzano Polaków po pałacowych komnatach, nad wejściem do jednej ujrzeli oni ze zdumieniem herb polski, Orła z Pogonią. Było to istne muzeum historyczne naszej rewolucyi: na ścianach wisiały portrety polskich generałów i mnóstwo obrazów i rycin w związku z ostatnimi w Polsce wypadkami; oprócz tego była tam starannie ułożona kolekcya mundurów, tornistrów, karabinów, pałaszy i t. p. wojska polskiego, zbiór guzików mundurowych różnych naszych pułków, oraz monet i asygnat, bitych w Polsce podczas powstania — a snąc książę wciąż starał się uzupełniać kolekcya, bo i teraz przez adjutantów poszukiwał niektórych guzików (zwłaszcza 4-go pułku liniowego, 2-go pułku kosynierów i krakusów) i pieniędzy polskich. Ten

i ów podchorąży, w którego chudój sakiewce zatrzymała się jeszcze jaka złotówka lub grosz polski, zrobił przy téj sposobności „złoty interes“, otrzymawszy w zamian za każdą blaszkę z stępem narodowym, po dwa ważne luidory.

Piękne to przyjęcie u księcia Gotajskiego zostało zakłócone smutnem wydarzeniem. W kolumnie, o której mowa, znajdował się kapral 5-go pułku liniowego, który zachował osobiwszy ślad otrzymanej w kampanii rany: kula karabinowa trafiła go w sam środek czoła, ale tylko do połowy utkwiała w kości, a poroślszy skórą, wyglądała jak narość jaka. Gdy go przedstawiono księciu, ten żywo zainteresowany, jął go zachęcać, by się zgodził na wydobycie kuli i by mu ją podarował, a za nią ofiarował mu stopień podoficera w swój straży. Zrazu nasz kapral wahał się rozstać z „swą najdroższą pamiątką“, ale namawiany przez oficerów przystał nareszcie na operacyą. Chirurg ksiązący i nasi doktorowie Kolesiński i Ratayski, przystąpili do niej natychmiast i szybko i z łatwością ją wykonali. Ale po kilku minutach pacjent zerwał się nagle z krzesła, wyrwał z rąk szwajcara halabardę, i stanąwszy z nią na pozycyi, jakby przed nieprzyjacielem, groził i krzyczał: „Nix pardon! Nix pardon! — Nie biorę pardonu!“ Biedny wiarus wpadł w zupełne obłąkanie; musiano go ująć siłą i odnieść do oficyn pałacowych, gdzie, lubo powierzony staraniom najbieglejszych lekarzy, nie wróciwszy do przytomności, téj samój nocy ducha wyzionął.

Nazajutrz kolumna wyruszyła dalej, opatrzona pieczętnym sukursem, który głównie miał służyć podchorążym i akademikom, bo ci jako nie pobierający oficerskiego żołdu, najbardziej potrzebowali zasiłku. *)

*) Powyższy opis przyjęcia w zamku gothajskim napotkaliśmy w współczesnych „Notatkach“ J. Potrykowskiego (Rękopis w Arch. X. Wł. Czartoryskiego.) Na miej-

Wspomnieć wypada, że w Gotha przechodzących Polaków zachęcano, by się do armii belgijskiej zaciągali. Istotnie brat X-cia Ernesta Gotthajskiego, Leopold, nowy król Belgów, zamyślał temi czasy formujące się swe wojsko, wzmocnić znaczniejszą liczbą Polaków i w tym przedmiocie zaczął nawet komunikować się z X. Adamem Czartoryskim i z byłą naszą misją w Paryżu. Ale gdy tymczasem szanse utrzymania pokoju znacznie się powiększyły, zamiar ten został zaniechany.

W Weimarze wydarzyło się inne zetknięcie Polaków z dworem. Z jedną kolumną szła przy mężu młoda kobieta, żona podoficera, w męzkim, wojskowym ubraniu. Za przybyciem kolumny do Weimaru rozeszła się pogłoska, że wśród niej znajduje się i panna Emilia Platerówna, rozgłośna amazonka litewskiego powstania. Na tę wieść W. X-na Weimarska przesłała owę podoficerową duże pudło, zawierające cały przybór stroju kobiecego, od kołczyków do trzewików. Że jednak dawczyni była z urodzenia księżniczką rosyjską (Marya Pawłowna, siostra Mikołaja), kolumna uznała, że daru nie wypada przyjąć i że należy go odesłać z podziękowaniem a zachowaniem tylko pary rękawiczek, na pamiątkę uprzejmiej intencji.

Najprzyjaźniej jednak usposobionym był dwór saski dla Polaków; dobry stary król Antoni jak i pierwszy jego minister, zacny, nieskazitelny Lindenau, dawali im wiele dowodów przychylności. W Dreźnie w samem otoczeniu dworskiem znajdowało się kilku Polaków: pani Ewa Dobrzycka była damą honorową, Tödwen szambelanem królewskim. Mieliliśmy tu dobrych i wpływowych przyjaciół, jak np. Falkenstein, bibliotekarz

scu jednak w Gotha ani w tradycyi zamkowej, ani w piśmach miejscowych wzmianki o nim nie znaleźliśmy. Co zaś do wzmiankowanej kolekcji polskiej X-cia Ernesta, to potwierdzono nam, że takowa istotnie egzystowała i że następnie do arsenału w Koburg została przewieziona.

króla, znany biograf Kościuszki, lub dr. Hedenius, uczony i filantrop.

Na przestrzeni między pruską a francuską granicą Drezno stało się jakby główną przystanią dla rozpiechłych i wędrownych Polaków. Zawsze to miasto miało dla nas szczególny powab i już przed powstaniem niejedna rodzina polska stała w niem zamieszkała. Zaraz po ostatecznej rozsypce zebrała się tu pewna liczba członków Sejmu, kilku generałów (przez pewien czas zetknęło się tu jednocześnie aż trzech exwodzów naczelnych: Małachowski, Dębiński i Rybiński) i mnóstwo innych wojskowych i cywilnych uczestników powstania. W tym czasie znalazł się w Dreźnie i Mickiewicz i razem z nim Garczyński, Domeyko i Odyniec. Przybyła tu Klaudyna z Działyńskich Potocka, uwiózłszy z sobą z Polski, jakby służących swoich, Włodzim. Potockiego, Wincentego Tyszkiewicza i Józefa Tańskiego; z nią przybyła w ubraniu pokojówki nieodstępna jej towarzyszka Emilia Szczaniecka. Obok komitetu niemieckiego stanął w Dreźnie i komitet polski pod prezydencją pani Dobrzyckiej, z udziałem generałowej Barbary Dąbrowskiej, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, jej męża, Józefa Łubieńskiego i innych. Klaudya Potocka stała się jego duszą. Młoda ta kobieta wątłej postaci a wielkiego serca, jak była aniołem opiekuńczym rannych i chorych w Warszawie i Modlinie, tak teraz w Dreźnie stała się niestrudzoną w niesieniu ulgi i pomocy wygnańcom. *)

Kiedy pod koniec grudnia 1831, generał Bem wpadł

*) Pomiedzy weteranami 1831 r. imię Klaudyny dotąd otoczone zewnem uwielbieniem. Ze składek wychodźców zebrany Fundusik, znajdujący się w zawiadywaniu *Tow. Czcici i Chleba*, służący na wspomnienie sieroty lub dziecka biednej rodziny, a noszący nazwę „Funduszu Klaudyi Potockiej” jakby skromnym, moralnym nagrobkiem uwiecznia jej pamięć.

z Elbląga do Drezna i zażądał środków na wyprowadzenie żołnierzy, Klaudyna wyczerpawszy już całkowity swój zapas gotówki, sprzedawała dwa kosztowne szale, żeby zasilić składkę; za jej przykładem inne Polki spieniężyły klejnoty i w 24 godzin zgromadzono między rodakami 40,000 złp., które nazajutrz do Elbląga na ręce pana Riesen wyprawione zostały. Potem powtórnie zebrany w Dreźnie inny fundusik, przyczynił się do ściągnięcia do Francji trzystu żołnierzy z korpusu Ramoriny, którzy wtłoczeni z Galicji do Polski, uchodzili ztamtąd i przybywali do Krakowa. Tym wojskowym jak innym, idącym od Austrii, rząd saski wyjątkową łaską pozwolił przechodzić przez Drezno, bo inne stolice, jak Berlin i Wiedeń, ściśle były zamknięte Polakom. W najętem na ten cel pomieszczeniu znajdowali oni nocleg i utrzymanie i dostawali od komitetu bieliznę, buty i płaszcze, a poseł bawarski wydawał im na dalszą drogę paszporty. Przyczynił się do wspierania tych przechodniów i poseł Wal. Zwierkowski, któremu komitet w Metz powierzył kilka tysięcy franków do użycia na ten cel. Poseł francuzki w Dreźnie, przychylny nam baron Reinhard, miał 50,000 franków z funduszów swego rządu na zapomogę idącym do Francji. Ta względnie szczupła suma rychło się wyczerpała, tak że już w lutym mógł on tylko po 2 talary dawać oficerom na dalszą ich drogę.

Drezno położone nie zbyt daleko od granic Polski, utrzymujące dość ożywione stosunki z Wrocławiem, Krakowem i Warszawą, stało się dogodnym dla wychodźców punktem znoszenia się z krajem i rodziną. Policja rosyjska czujnie przejmowała listy wprost do nich adresowane; za pośrednictwem bankiera Kaskel'a, lub pod kopertą innych mieszkańców drezdeńskich, nie jeden z nich odbierał z domu wiadomości lub przesyłki pieniężne. Względne i ludzkie postępowanie rządu saskiego z Polakami, gniewało Mikołaja, który przez swego posła w Dreźnie, pana Schroeder, nie poprzestał czynić w tym wzglę-

dzie reklamacyi, a na nieszczęście, płóche i nieogłędne zachowanie się niektórych Polaków w Dreźnie podawało do tego pożądany pretext. Gabinet drezdeński nie w siłach opierać się, rad nie rad, od czasu do czasu, musiał obostrzać przepisy względem Polaków, to zabraniał nosić publicznie mundur polski, to wypowiadał pobyt bardzo niespokojnym albo głośniejszym osobistościom. Między tymi generał Bem, po powrocie z Paryża, pod koniec stycznia, otrzymał wkrótce rozkaz opuścić najprzód Drezno, potem Lipsk i musiał w końcu przenieść się do Altenburgu i z tamtąd kierować dalszym przechodem kolumny przez Niemcy. Przedstawienia i wymagania petersburskie i berlińskie, stawały się coraz natarczywsze i pod ich naciskiem, latem 1832, prawie wszyscy Polacy zostali z Saksonii wydalen; i Mickiewicz wtenczas Drezno opuścił, i Klaudyna Potocka sędziwą matkę odejść musiała.



VIII.

Sympaty i żywionéj w Saksonii dla Polaków, nie ustępowały uczucia okazywane im w dalszych stronach i zwłaszcza nad Renem. Owszem — widzieliśmy już, że czem bardziej zbliżały się kolumny do zachodnich krańców Niemiec, tem żywsze spotykały oznaki społeczenia dla siebie. Nad Renem, gdzie temperament ludności jest gorętszy, tam też i objawy jego stawały się żywsze. Tam z okolicznych wsi zjeżdżali się nawet niekiedy włóścianie długim szeregiem wózków, z chorągwiami i krzyżami, spotykać i pozdrawiać braci w wierze, wygnanych i prześladowanych przez cesarza schyzmatycznego. Miasta nadreńskie prześcigały się w uprzejmości i wylaniu się dla naszych rodaków.

W Oppenheim Polacy przeprawiali się przez Ren, na promie. O ich pobycie piszą z tego miasta: „Znikła wszelka różnica stanu, wieku, języka, majątku; ludzie, jak się trafiło, prowadzili się pod rękę, ściskali sobie dłonie, jakby wszys'ko dawni, starzy przyjaciele. W biednych nawet domkach przy ulicy, z każdego okna świeciła lampa lub świeca z uprzejmem pozdrowieniem dla przechodniów. Wszędzie tylko jeden głos o dobrem zachowaniu się i o wdzięczności tych walecznych.“

W Moguncyi oprócz grona męskiego zajmującego się przyjmowaniem Polaków, istniał i komitet panien (Mädchen-Verein) pełen entuzjazmu i zapału; ale nie tylko to: utworzono tam stowarzyszenie dziatwy (Kinder-Verein), w którym mali nasi przyjaciele od 10 do 12 lat,

znosili w ofercie swoje zabawki, byż z nich urządzić loteryę na dochód komitetu polskiego. O przyjęciu w tem mieście donosi berlińska „Vossische Zeitung“ pod dniem 24 stycznia 1832:

„Przy zbliżaniu się pierwszej kolumny Polaków, ogromne mnóstwo ludzi z pochodniami w rękę zgromadziło się o godzinie 6 nad tegostronnym brzegiem Renu. Zabrzmiała muzyka, tysiące zgromadzonych z uniesieniem śpiewali znajomą pieśń polską: „Jeszcze Polska nie zginęła“ w języku niemieckim. Na środku Renu na moście łyżwowym odpowiadał też samą pieśnią w języku ojczystym oddział Polaków, po większej części z oficerów młodych się składający. Gdy się do brzegu zbliżyli, powstało między mieszkańcami szlachetne współubieganie się, gdyż każdy się dobijał o zaszczyt przyjęcia do domu swego gościa polskiego. — Wczoraj do przyjęcia drugiego oddziału jeszcze świetniejsze poczyniono przygotowania. Wzdłuż brzegów wspaniałego Renu, na pagórkach winną macicą zasłanych, rozłożono ognie na znak radości, które razem z pochodniami całą oświecały okolicę. W bliskości miasta rżęsissem jaśniał światłem transparent alegoryczny. Między wychodźcami tymi było też kilku starców i dama jedna, jeszcze w mundurze porucznika, która na całej wyprawie mężowi swemu, jako adjutant towarzyszyła.“

Nazajutrz tj. 25 stycznia donoszą z Worms:

„Przyjęcie Polaków w mieście naszym było istotnie rozrzewniającem i prawdziwie braterskiem. Chociaż Frankenthal było ich pierwszym noclegiem, zatrzymano wszelako tu pierwszą kolumnę, z innemi już po południu trzeba się było rozstać. Magistratura wcześniej już wystarała się o kwatery dla gości przybywających i w tym celu rozdała dniem przedtem bilety kwaterynkowe — ale ta staranność, jak się pokazało, była tą razą niepotrzebna: każdy mieszkaniec miasta chciał mieć bilet, nawzajem karteczki takie z rąk sobie wydzielali,

i jeden zazdrościł drugiemu honoru umieszczenia w domu swoim kochanych przybylców. — Kiedy wóz jaki stanął przed domem mu wyznaczonym, właściciel przyjeżdżającym ani tyle czasu nie pozwalał, aby zsiąść mogli — w ścisłem znaczeniu słowa powiedzieć można, że ich z wozów zrywano i prawie mimowolnych do domów zabierano. Niepodobną jest rzeczą opisać tę radość i wesołość, która teraz u nas panuje.“

W niektórych miejscach manifestacye przyjazne, okazywane Polakom, przybierały charakter takiego ożywienia, że władze, zapobiegając zakłóceniu porządku i spokojności, widziały się spowodowane odmieniać ich marszrute. Dla tego przez Freiburg, gdzie się wedle wyrażenia gazety *Schwäbischer Merkur* objawił niewidziany dotąd entuzjazm (noch nie gesehener Enthusiasmus) dla naszych rodaków, dalsze przejście kolumn zostało wstrzymane. — W mieście hesseńskiem Giessen, akademicy i obywatele przy pojawieniu się Polaków wpadli też w najwyższy zapał. W mgnieniu oka, wszystkie mieszkanka studenckie zdawały się przemienione w grzmiące bastiony; z otwartych okien następowały salwy po salwie. Mieszczanie poszli za przykładem młodzieży i można było sądzić, że na ulicach Giessen odbywają się mordercze utarczki. Wszelkie władze znikły: nie było widać ani miejskiej ani uniwersyteckiej policyi, i całe utrzymywanie porządku podczas téj „tumultuarnéj“ nocy przeszło w ręce studentów. Ale ci, rozgrzani winem, poszli przed dom barona v. Arens, prezydenta sądu i kanclerza uniwersyteckiego, i złożyli mu bałaśliwe *Pereat!* W skutek tego zajścia rząd hesseński wzbronił dalszego przechodu kolumn przez Giessen i odwrócił ich drogę na Friedberg, z umyślnem ominięciem Marburga, gdzie akademicy również gotowali dla naszych gorące powitanie. Ten sam rząd nie chciał dozwolnić na przejście Polaków przez Hanau inaczej jak tylko pod warunkiem, że w mieście tem nocować nie będą. Woli

zwierzchności stało się zadość — noclegu nie było, bo nikt się spać nie położył; ale mieszkańcy hanauscy na prędko urządzili bal w przyległym miejscu kąpielowem Wilhelmsbad, i tam aż do dnia z gośćmi polskimi prze-
tańcowali. Z rankiem Polacy siedli na wielką łódź towarową i w towarzystwie komitetu, wśród wystrzałów z moździerzy, z muzyką grzmącą na pokładzie i z Orłem Białym powiewającym na maszcie, Menem popłynęli do Frankfurtu. Nadmienmy, że w Hanau wychodziło skrajnych opinii piśmko *Die Neuen Zeitschwingen*, które wierszem i prozą podawało ogniste artykuły o Polakach.

Przyczyną zakazu zatrzymywania się w Hanau stało się smutne wydarzenie, które w całej okolicy sprawiło głębokie wrażenie. Zwykle kiedy nie dawano jakiej ogólnej fety dla Polaków, mieszkańcy oddzielnemi gronami rozbierali pomiędzy siebie naszych rodaków; każde grono chciało mieć „swego Polaka“ i ugoszczało go bądź w miejscu publicznem bądź w kole domowem. Wtenczas trzeba było spełniać toasta i rozpowiadać, dobrą czy łamaną niemieczyzną, lub nawet na migi, o przygodach ubiegłej kampanii. Podczas przejścia jednej z pierwszych kolumn przez Hanau, pewna grupa już późno w nocy odprowadzała oficera polskiego, porucznika Dzwonkowskiego, z kawiarni do kwatery. Idących tak i śpiewających patryotyczne pieśni, nadybał patrol, zatrzymał ich i jął strofować, że hałasują na ulicy o nocnej porze. Na to, podochoceni Niemcy, hardo odpowiedzieli. Dzwonkowski został ciężko znieważony, to dało powód do pojedynku nieszczęśliwego, w którym młody oficer heski, nazwiskiem Niemeyer, padł na miejscu.

Jednocześnie z rozbudzonemi uczuciami w publiczności, pojawia się i interes dla Polaków w literaturze niemieckiej. Gazety, nie wyłączając wychodzących pod cenzurą pruską, podają liczne sprawozdania i szczegóły o pobycie Polaków. Na polu ruchu księgarskiego prze-

chód naszych tułaczy staje się przedmiotem „aktualności“, znajdując swój odgłos w broszurach, muzykaliach, sztychach i litografiach różnorodnych. Jeszcze przed kilkunastu laty nie trudno było spotkać się w Niemczech z którąkolwiek z ówczesnych rycin, wyobrażających np. przyjęcie Polaków w Lipsku, albo Pożegnanie Polaków z Ojczyzną. Na wzgórzu, u stóp słupa granicznego siedzi młodzieniec w mundurze ułańskim z ramieniem w temblaku, z utopioną w dłoniach twarzą; przy nim stoi starzec o białym wąsie, o pięknej, poważnej postaci, z ręką na głowie nieutulonego syna. Nad nimi szare niebo, w dali równina z biegiem rzeki i niskimi chatami. Obrazek ten z podpisem: „Der Polen Abschied vom Vaterlande“, miał w swoim czasie największe powodzenie; mimo banalności swego stylu, nosił wyraz szlachetnego smutku i przemawiał nim do uczuć i wyobraźni wielkiej masy.

Patryotyzm, waleczność i niedola Polaków, dostarcza poetom niemieckim treści do różnych wylań lirycznych. Pomijamy owe mnóstwo rymów okolicznościowych i jednodniowych, któremi w każdym prawie mieście witano Polaków; mamy tu na myśli utwory poetyczne wartości wyższej, uznané szerszym i trwalszym rozgłosem. Platen-Hallermünde pała gniewem i oburzeniem nad krzywdami naszymi, śmiałym i namiętnym głosem piętnuje cesarza północy i złorzeczy przemocy tryumfującej i pysznej. Jego „Polenlieder“ należą do początków owego rodzaju poezji politycznej, która następnie nie małego w Niemczech znaczenia nabiera. W chwili, kiedy wojsko polskie wychodzi za granicę, odzywa się on do następcy tronu pruskiego gorącym i silnym wierszem („An einen Deutschen Fürsten“), w którym woła:

Ich flehe für das Volk der Leiden,
Das aus der Heimath auszuscheiden

Gedrängt die Zeit;
 Ich flehe für umsonst ermannte,
 Für flücht'ge Helden und Verbannte,
 Um einen Funken Menschlichkeit.

Wie auch des Gegners Groll sich steigert,
 Werd' ihnen kein Asyl verweigert,
 Kein Trost im Schmerz.
 Und wo ein Gast sich eingefunden
 Beträufle Balsam seine Wunden
 So lange schlägt ein deutsches Herz.

.

Inni poeci jak Maltitz, Mosen, Lenau wylewają patetyczne skargi i żal głęboko poczuty nad niedolą Polski i nad losem wygnanych jej synów. Niektóre z tych wierszy weszły, rzec można, w skarbiec poezji ludowej, i do dni naszych zachowały całą swoją popularność. Do takich najbardziej może zaliczyć się daję znany wiersz Juliusza Mosen: *Die letzten Zehn vom Vierten Regiment*. Czwartą Pułk liniowy! Wspomnienie jego zawsze w nas budzi jakąś dumę żalostną, jakieś uwielbienie tęskne — a jednak ten hufiec walecznych nad walecznymi dotąd nie znalazł u nas ręki mistrza, coby oddał wierny i pełny jego obraz. Dzieło to byłoby godne pędzla autora „Ogniem i Mieczem.“ Przypomnijmy sobie tymczasem, jak w chwili kiedy i Czwartaki z innymi szli na tułactwo, śpiewał o nich śpiewak niemiecki:

Die letzten Zehn vom Vierten Regiment.

In Warschau schwuren Tausend auf den Knien:
 Kein Schuss im heil'gen Kampfe sey gethan!
 Tambour schlag an! Zum Schlachtfeld lasst uns ziehen;
 Wir greifen nur mit Bajonetten an!
 Und ewig kennt das Vaterland und nennt,
 Mit stillem Schmerz, sein Viertes Regiment.

Und als wir dort bei Prag blutig rangen,
Hat doch kein Kam'rad einen Schuss gethan,
Und als wir dort den Blutfeind zwangen,
Mit Bajonetten ging es drauf und dran!
Fragt Praga, das die treuen Polen kennt:
Wir waren dort das Vierte Regiment!

Drang auch der Feind mit Feuerschlünden
Bei Ostrolenka grimmig auf uns an;
Doch wussten wir sein tückisch Herz zu finden,
Mit Bajonetten brachen wir uns Bahn.
Fragt Ostrolenka, das uns blutend nennt:
Wir waren dort das Vierte Regiment!

Und ob viel wack're Männerherzen brachen,
Doch griffen wir mit Bajonetten an,
Und ob wir auch dem Schicksal unterlagen,
Doch hatte Keiner einen Schuss gethan.
Wo blutigroth zum Meer die Weichsel rennt,
Dort blutete das Vierte Regiment!

O weh, das heil'ge Vaterland verloren!
Ach, fragt nicht, wer uns dies Leid gethan?
Weh Allen, die in Polenland geboren!
Die Wunden fangen frisch zu bluten an;
Doch fragt Ihr, wo die ärgste Wunde brennt:
Ach, Polen kennt sein Viertes Regiment!

Ade, ihr Brüder, die, zu Tod getroffen,
An unsrer Seite dort wir stürzen sahn!
Wir leben noch, die Wunden stehen offen,
Und um die Heimath ewig ist's gethan!
Herr Gott im Himmel, schenk' ein gnädig End'
Uns Letzten noch vom Vierten Regiment!

Von Polen her, im Nebelgrauen, rücken
Zehn Grenadiere in das Preussenland

Mit dumpfem Schweigen, gramumwölkten Blicken;
 Ein „Wer da?“ schallt — sie stehen festgebannt —
 Und Einer spricht: — „Vom Vaterland getrennt,
 Die letzten Zehn vom Vierten Regiment!“*)

*) (Wiersz ten został przez J. N. Kamińskiego
 przetłumaczony na polskie. Tłumaczenie to brzmi jak na-
 stępuje:

Pułk czwarty.

Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę,
 Przysięga klęcząc: Naszym świadkiem Bóg!
 Z bagnetem w rękę pójdziem w świętą sprawę,
 Śmierć naszym hasłem; niechaj zadrży wróg!
 I dobosz zagrział, już sojusz zawarty,
 Z panewką prózną idzie w bój pułk czwarty.

Wiadoma światu ta sławna Olszyna,
 Gdzie murem twardym nieprzyjaciół stał!
 Paszcz tysiąc ziele, rzeź się krwawa wszczyną,
 Już mur zwalony, nie padł ani strzał:
 Okropny przestrach poniósł tłum rozżarty,
 Spokojnie wrócił do Pragi pułk czwarty.

Pod Ostrołęką wróg się dumny zżyma,
 Otacza wolnych dzikięj hordy wał;
 Śmierć albo życie — tu wyboru nie ma!
 „Z bagnetem naprzód!“ — nie padł ani strzał!
 I już dla naszych odwrót jest otwarty,
 I któż to zdziałał? O, był to pułk czwarty!

On to po ciężkiej i krwawej rozprawie,
 Jak groźny piorun, jako bitwy pan,
 Ponuro wraca ku tęsknej Warszawie,
 Krew obmyć w Wiśle z przyschniętych już ran;
 Czerwono płynie w morze prąd niestarty —
 Krew to walecznych — przelał ją pułk czwarty.

Daremne męstwo! Ojczyzna zgubiona!
 Ach, nie pytajcie, kto ten spełnił czyn;
 Zabójczy potwór wyszedł z matki łona,
 Ojczyzny zgubą jęć wyrodney syn!
 W kawałki znowu kraj polski rozdarty,
 Krwawemi łzami zapłakał pułk czwarty.

Zapewne więcej ich było jak dziesięciu, kiedy z czołem ponurem, ze zgrzytem zębów przez rów graniczny wkraczali do Prus. A jednak natchnienie poety nie omyliło go. Z dawnych, starych Czwartaków, w owym dniu nieszczęsnym 5 października pewno chyba już kilku zaledwie pozostawało. Bo iluż to ich legło na wszystkich polach! Z każdej bitwy Czwarty Pułk liniowy wracał poszarpany i zdziętkowany, ale jak istny Fenix pobojowiska, z ognia i z krwi wciąż się odradzał i odnawiał. Ile razy chodziło o to, by zapełnić w nim szczyrby, na każde zawołanie, ponad liczbę i potrzebę, przybiegali mu nowi ochotnicy.

Żegnajcie bracia, których nam przy boku
 Za świętą sprawę wzięła śmierci dłoń!
 Wam lepszy udział dostał się z wyroku,
 Nam chytra zdrada wzięła z ręki broń.
 Jak biedny tułacz na kiju oparty,
 W kraj obcy idzie nasz dzielny pułk czwarty.

Dziesięciu mężów błakany krok
 Przychodzi chwiejno pod graniczny słup;
 Ciekawem zewsząd patrzą na nich okiem,
 Z nich każdy idzie jak bez życia trup.
 Kto idzie? stójcie! — krzykną pruskie warty.
 My to dziesięciu, cały nasz pułk czwarty!)



IX.

Obok Lipska i Freiburga, Frankfurt n. M. był jednym z tych miast, gdzie rodakom naszym szczególną okazywano gościnność. Mimo obradującej tu Rady Rzeszy Niemieckiej, od początku wojny istniała tu wielka życzliwość dla naszej sprawy, i już w czerwcu 1831, od grona miejscowego wyszło wezwanie do publiczności z prośbą o dostarczenie płótna, szarpi i datków pieniężnych na rzecz rannych i chorych po lazaretach w Polsce.

Na jednym z posiedzeń Senatu frankfurtskiego (31 marca 1831), kiedy sprawozdawca przedstawił, że na przyjęcie Polaków skarb miejski wydał już przeszło 10 tysięcy zł. reńskich, i zarazem wykazał potrzebę przeznaczania dodatkowych 20,000 złr. na dalsze ich podejmowanie i przewóz, wniosek jego tego samego dnia jednogłośnie i bez wszelkiej dyskusyi został przyjęty.

Przy rozdawaniu biletów kwaterunkowych Polakom przybyłym, komitet uprzedzał ich, że wydatki ich życia z góry pokryte i prosił, by sobie w niczem wygody nie odmawiali. Wyłącznie prawie pomieszczano ich po oberżach i hotelach, gdzie gospodarze z żonami i dziećmi radośnie wybiegali witać gości i nieustannie uprzedzali ich życzenia, kiedy ci starali się ograniczać swe potrzeby, ażeby nie nadużywać hojnej gościnności Frankfurczanów. „Nic nie mieliśmy do rozkazywania — czytamy w pamiętniku podróżnym — a żyliśmy przez kilka dni w Frankfurcie jakby jacyś bogacze świata.“

Zaraz po przybyciu kolumny komitet zapytywał przewodnika o jej potrzeby, lecz że już w poprzednich miastach troskliwie zaopatrywano naszych podróżnych, przeto we Frankfurcie nie wielu się zgłaszało z żadaniami. Wszelako wśród wielkiej liczby, acz bardzo wyjątkowo i rzadko, znajdowali się „pewni szulerzy i niektórzy ludzie chciwi“, którzy korzystali z sposobności zwiększenia swych zapasów ponad istotną potrzebę.

Nie będziemy się rozwodzić nad szczegółami przyjęcia i nad demonstracyami, których Polacy w Frankforcie, podobnie jak w innych miejscach, dozwolali. Wolimy natomiast przytoczyć kilka ustępów z pióra miejscowego kronikarza o ich tam pobycie. Znajdujemy je w piśmie „Frankfurter Jahrbücher“ (8 lutego 1832); oto co one nam mówią:

„Na tych kartach nie wolno nam zamilczeć o owych dniach, w których obywatele frankfurtscy ujrzeli pośród siebie ocalonych Polaków. Słyszeliśmy z ust poważnego męża, że te dni należą do najpiękniejszych w życiu jego. To, cośmy uczuli przyjmując tych rozbitków bohaterskiego narodu, Frankfurteczanie winni zachować w wdzięcznej pamięci dla siebie i dla wnuków. W tych wojownikach rycerskich czciliśmy łagodność, płynącą z prawdziwie moralnego ducha, i miłość Ojczyzny. Kto zdolny jest wielbić patryotyzm cudzoziemca, ten i sam okazuje się godnym mieć Ojczyznę niemiecką.

„Rząd naszego Wolnego Miasta poszedł za pięknym przykładem, danym przez inne Rządy niemieckie, a zwłaszcza przez Rząd Królestwa Saskiego i sąsiedniego W. Księstwa Hesseńskiego. Polacy, przyjeźci na granicy przez tutejszych urzędników, otrzymywali mieszkanie i pożywienie w przedniejszych hotelach. Grono poważanych obywateli wzięło na siebie zapobiegać ich potrzebom, wynikłym z trudów wojny i długiej podróży. Skromność i bezinteresowność odbierających pomoc, była istotnie wzruszającą i ułatwiała jej udzielanie. Ów duch łągo-

dności i miłości Ojczyzny, o którym chlubnie wzmiankowaliśmy powyżej, znalazł należyte uznanie w entuzjazmie naszych spółobywateli przy powitaniu Polaków i w serdecznym, rozczulającym sposobie, w jaki się z nimi żegnali. Na każdym kroku Polaków otaczała przyjaźń mieszkańców, a w oczach kobiet i dziewcząt ujrzeli oni nieraz łzy szczerzego spółczucia dla siebie.

Nie mówiąc o licznych darach, składanych przez bogatych i biednych w ręce komitetu, — co nas najwięcej uderzało, była to głębokość spółczucia, cechująca chęć niesienia pomocy. Ci rzemieślnicy, którzy odsuwali wynagrodzenie za robotę, a w zamian prosili o jakiś znak pamięci, dla zachowania jakby relikwii; te biedne praczki, które się cisnęły, ażeby takóŜ usłuŜyć sposobem, na jaki ich stać było, i które za jedyną zapłatę  adały, aby im wolno było nie brać j  j wcale; owe uczennice, które robiły po nczochy, szyły koszule i by y szcz  gliwe, kiedy same mog y wr  czy c rycerskim go ciom prac  r  k swoich;   w nieznajomy, który zarzuciwszy p  szcz sw  j na ramiona zzi bn  temu, uszed  spiesznie przed podzi kowaniem i znik  w t  mie ¹⁾ — oni pojedynczo wyrazali to usposobienie, k  tre przejmowa o wszystkich. Ale nikt w t  j okoliczno ci nie zachowywa  si  godniej, jak sami Polacy. Ich skromno  ,  agodno  , ich szlachetny i serdeczny charakter, nawet ich pi  kne postacie i ich przepyszne  o nierskie w  cie, porywa y serca wszystkich. — Nasz Orze , nasze barwy, przypomina y im Ojczyzn !

Kiedy m  ldy oficer od artylerii polski j umar  tu-taj, tysiące ludzi, w skupieniu i cich j bole ci sz y za

¹⁾ Oficer polski szed  przez most w dzie  zimny, w bardzo lekkim odzieniu; obaczy  to Niemiec jaki , k  try w  alnie szed  w pi  knym, nowym p  szczu; zacz j  si  wi  c gdy ju  z mostu w ulic  wchodzi , rzuca mu z ty u na ramiona p  szcz sw  j, a sam tak ucieka szybko,  e go w  dzi czno   Polaka nigdzie dostrzedz ju  nie mog a. (Pami  tniki Klem. z Ta skich Hoffmanow  j.)

jego ciałem, jakby miasto straciło w nim jednego z własnych, najszlachetniejszych synów swoich.“

Dwudziestoletniemu porucznikowi Ludwikowi Lang śmierć skróciła drogę wygnania; przybył on już ciężko chory do Frankfurtu i tam, w hotelu „Pod Łabędziem“ umarł 27 stycznia, a pogrzeb jego stał się nowym powodem wspaniałego objawu uczuć niemieckich dla Polski. W dniu poprzedzającym, zwłoki zostały wystawione; na martwe czoło młodzieńca „niewiasty niemieckie“ złożyły wieniec ze świeżego lauru; za trumną postępowali oficerowie polscy, oficerowie niemieccy i kilka tysięcy ludu; stowarzyszenie śpiewackie wykonało kantatę nad grobem; kapitan Leski przemówił w imieniu kolegów; oddział wojska liniowego oddał zmarłemu ostatnie honory

Zaszło inne jeszcze wydarzenie, które roznieciło zapal dla Polaków we Frankfurcie. Za przybyciem 3ciej kolumny do tego miasta, po północy wybuchł pożar. Między pierwszymi, co przybiegli na ratunek, ujrzano mundury polskie. Nasi żwawo rzucili się w ogień i nie szczędzili siebie, a dwaj między nimi, Zawadzki i Wodziński, z płomieni wynieśli dwoje nagich dzieciątek.

Pisma frankfurtskie, jak i te, co wprowadzie redagowane we Frankfurcie, dla względów cenzuralnych wychodziły w pobliskim Hanau, tchnęły dla nas zgodnie z publicznością, najgorętszemi uczuciami. Funk, Sauerwein i Freieisen, literaci frankfurtscy, wszyscy trzej oddani ówczesnemu prądowi liberalnemu, poświęcali przechodnim Polakom strzeliste artykuły, w których pośrednio i sprawę wolności i jedności własnej ojczyzny starali się dotknąć.

Ludwik Börne, sam Frankfurczanin, ale w owym czasie przebywający w Paryżu, na wiadomość, że rodzime jego miasto tak zacznie z Polakami postępuje, nie posiada się z radości i w jednym ze słynnych swoich li-

stów paryskich¹⁾, pisze do swój przyjaciółki (30 stycz. 1832):

„Co mi o Polakach donosisz i wspinałem ich przyjęciu we Frankfurcie, do łez mię poruszyło. Temu panu, który na moście zawiesił Polakowi płaszcz swój na plecy i odszedł w milczeniu, temu na temże miejscu należałoby pomnik postawić. Starożytne dzieje piękniejszego rysu serca nam nie podają.“

A w kilka dni później (w liście z 3 lutego), gdy się dowiaduje, że Frankfurczanie, wyprząc konie, sami wciągnęli do miasta pojazdy, w których siedzieli oficerowie polscy, pisze on: „Czy téż to wszystko prawda co donosi gazeta stuttgardzka, jak Frankfurczanie podczas przejścia Polaków niejednem pięknem słowem, piękny sposób myślenia objawiali? I tak czytam, że jeden z tych, co ciągnęli powóz Polaków, odezwał się do towarzysza: „Zaczekaj Filipie — i ja ci pomogę. Co mi tam obchodzi cesarz czy król. Ja wiem tylko, że ci Polacy, to są dzielne chłopcy.“ Inny zaś wołał: „Chcieliście przecie ciągnąć panią Sontag (słynna śpiewaczka ówczesna); ci tutaj Moskałom piękniejsze arye śpiewali.“ Trzeci znów wykrzykiwał: „Pokażmy tym młodym ludziom, żeśmy nie Prusacy!“ — „Pochód Polaków przez Niemcy — kończy autor rzeczony, wyda najpiękniejsze owoce... Przemądrzy wy ludzie! Przebiegli mężowie stanu! O krzywdach i o zdradach zadanych przez Austryą i Prusy Polakom, nie pozwalaliście pisać gazetom a teraz puszczacie na kraj tysiące kaznodziejów, którzy rozpowiadają co wycierpieli i nauczają nas jak się cierpieć przestaje.“

¹⁾ Gesammelte Schriften von Ludwig Börne. Tom X.



X.

Cierpieć, niestety, my nie przestaliśmy, — ale zkaż-
inąd przewidywania Börne'go nie zupełnie chybiły. Myśli
publicznej w Niemczech, zbudzonej rewolucją lipcową
i reformą angielską, dodaje nowej podniety przechód
polski. Nie pozostaje on też bez wpływu na rozwój
swobód politycznych i dążeń narodowych niemieckich.

Było to zaranie ducha narodowości w nowożytnem
jego znaczeniu. W wiekach przeszłych narodowość była
poniekąd instynktem tylko; za naszych czasów staje się
ona uczuciem rozumowanym, opartem na patryotyzmie
i na całym szeregu potrzeb moralnych. W Niemczech
przebudza się duch ten w roku 1813. W Grecyi i w
Polsce wybucha wielką łuną. Zatloną w tym ogniu po-
chodnię, po przez gruzy i zgłiszczą wypieśli Polacy z po-
gorzeliska i szli z nią przez Europę, a Niemcy z wznie-
sionemi do nieba ramionami, z okrzykiem uwielbienia,
witali święty płomień, który ich miał wieść do jedności
i potęgi.

Widok tułacza, mającego na sobie suknię zapyloną
kurzawą bitew krwawych, rzucającego kraj, rodzinę, ma-
jątek, porusza Niemców do głębi przeciw uciskowi i za-
ostrza ich nienawiść dla samodziercy Rosyi, wzmacnia ich
opór przeciwko przytłaczającej opiece Śgo Przymierza,
przeciwko systemowi Metternicha i uchwałom sejmu
frankfurckiego. Komitety polskie po miastach niemiec-
kich stają się istotnie klubami liberalnemi, i przyjaciel
Polski znaczy u nich to samo, co przyjaciel wolności.

Bezpośrednio za przejściem Polaków, wszędzie gdzie odpech ludności nie był tłumiony siłą wojskową, rodzą się też nowe, częstsze manifestacje zbiorowe: uczty polityczne, sadzenie drzew wolności, kokardy narodowe, agitacya na rzecz wolności prasy, śmielsze głosy publicystyki, adresy i petycje do rządu lub izb reprezentacyjnych, zgromadzenia ludowe jak słynna uroczystość w Hambach, stowarzyszenia ku „odrodzeniu Niemiec“, i temu podobne objawy, świadczące o wzmaganiu się prądu, unoszącego społeczeństwo niemieckie ku wyższym przeznaczeniom.

Ale, jeśli przechód polski wywarł pewne wrażenie na Niemców, to też w odwrotnym kierunku, i na samych Polaków nie pozostał bez wpływu.

Zapewne, gorące współczucie Niemców było prawdziwą pociechą i osłodą dla nieszczęśliwych. Co znały te tysiączne okrzyki: „Niech żyje Polska!“, rozlegające się wszędzie, gdzie tylko Polak stąpił! Czyż nie godziło się czerpać z nich otuchy? Czyż nie podnosiły one wiary i ufności w lepszą przyszłość? Zdawało się wówczas niepodobieństwem przypuścić, że opinia Europy da upaść sprawie, której słuszność tak powszechnie głoszą, której rozproszonych żołnierzy noszono na rękach i dla której uroczyste składano obietnice. Stało się inaczej — i tak, serdeczne objawy Niemców, ten ostatni uśmiech słoneczny na chmurnem niebie wygnańców, wzmagając nadzieje, nigdy nie mające się ziścić, rozszerzył im tylko koło ułud i przyszłych zawodów.

Świeżym pogromem przygnębieni, z posępną myślą i duszą zbolałą, ruszyli Polacy w pielgrzymkę. W tem, ku wielkiemu zdumieniu, wszędzie spotykają otwarte ramiona, uroczyste przyjęcia i świąteczne gody; wszędzie obsypują ich emfatycznymi, najszczytniejszemi epitetami: zwa ich bohaterami i męczennikami świętej sprawy, wybrańcami ludzkości, zesłańcami bogów, tarczą cywilizacyi, obrońcami wolności na ziemi; wmawiają, że

na nich polega nadzieja przyszłości, że odtąd do nich należy wskazywać ludom drogę, być przewodzcami w walce przeciw uciskowi itp. itp. Wszystko to było tego rodzaju, że mogło sprawić istotne upojenie i zawrócić młode, niedoświadczone głowy. Śród okrzyków i uciśków, śród wezbranego uczucia, nie dostrzegają, że w entuzjazmie Niemców, acz szczerym i serdecznym, mieści się przecie i hołdowanie własnemu, niemieckim, życzeniom, popędom i dążeniom; nie dostrzegają, że rzeczywistość zaczyna się usuwać z przed ich oczu, unosząc ze sobą jasne pojęowanie właściwych celów i zadań. Opuszczając ojczyste strony każdy wiedział jedno, że jest tylko żołnierzem Polski, i że idzie czekać na chwilę nowej walki z wrogiem ojczyzny; nim doszedł do granic Francyi każdy usłyszał sto razy, że powołanie jego jeszcze jest inne, — że dzielnemu ramieniu wygnańca polskiego, jego poświęceniu i mężstwu, Europa powierza rozleglejsze posłannictwo. W ten to sposób owacye niemieckie, nie jednego z naszych wychodźców, pasowały na błędnego rycerza do spraw i wypraw mniej lub więcej nam obcych.

W ruchu budzącym się temi czasy w Niemczech, niektórzy publicyści lub inni przywódcy, prześcigali wszystkich jaskrawymi opiniami i zuchwałymi planami. Nie wystarczały im dążenia liberalne i narodowe; oni sięgali daleko dalej i rozmyślali nad tem, jak z gruntu przekształcić społeczność, przewrócić trony i wymieść wszystko, co je otacza lub podtrzymuje. W przechodzie swym nasi tałacze i o nich zawadzili, tem bardziej, że oni byli zawsze między pierwszymi co biegli ścisnąć dłoń braci Polaków i najgoręcej ich witali, jako „ptaków zapowiadających burzę“ (*Sturmvogel der Revolution*). Zetknęli się z nimi niektórzy nasi rodacy, ludzie od pióra i słowa raczej niż od szabli. Usłyszeli oni od niektórych z pomiędzy nich, że w Niemczech, wszystko gotowe do powstania, że tylko szukają wodza. Rojenia ich nie

były bez pomyślności, bo obejmowały i sprawę polską, lubo urządzoną według teorii demagogicznych zabarwionych kosmopolityzmem. Jakkolwiekby, ziarno niemieckie nie zupełnie poszło na wiatr. Przywiezione do Francyi, pędzone w wysokiej temperaturze cieplarni paryżkiej, wydało ono owoc egzotyczny, który nie posłużył na zdrowie ani Emigracyi ani Krajowi.

Takim to był ten szczególny exodus polski; takim wrażenie i przyjęcie, które on wywołał w Środkowej Europie.

Dziś, w naszej realistycznej epoce i wśród tak odmiennych okoliczności, nie łatwo pojąć nastrojów umysłów, który go powitał — nie łatwo opisać go bez wywołania może zarzutu przesady lub zbytniego upiększenia. A jednak, skreśliśmy tylko, co nam podały usta świadków naocznych, co znaleźliśmy w pismach społecznych; a przemilczeliśmy niektóre szczegóły zbyt drastyczne i pominęliśmy niejedno, co nam szepta do ucha poufne zwierzenia, zawarte w pamiętach i poszarganych notatkach i pamiętniczkach podróży. Przechód przez Niemcy był, dla nas samych, jakby wielkim orszakiem żałobnym, lecz owacy ludu niemieckiego przekształciły go w istny marsz tryumfalny. Zaprawdę, żaden wódz, żaden król zwycięzki nie był nigdy tak witany, jak ta garść walecznych, ale zwyciężonych żołnierzy, idących przez obce kraje na tułactwo. Błogi to przykład gorowania w sumieniu ludzkim uczucia sprawiedliwości nad doraźnem powodzeniem i tryumfem siły brutalnej.

Dzisiaj wprawdzie za przykładem wysokich wzorów, w których, jak na teraz, zdaje się wcielać wszechmądrość i wszechsiła, jest to niestety hasłem przyjętem w Niemczech, pomiatać uczuciami Polaków, potępiać ich nawet, że żyją i żyć chcą. Nie jest to niezwykle zjawisko, że wielkim powodzeniom, osobliwie w pierwszych jego chwilach, towarzyszy pycha, zboczenie od powszedniej etyki i lekceważenie praw przysługujących innym.

Wolimy to tym sposobem, niż inaczej tłumaczyć. Ale są źródła tak głębokie i tak silnie bijące, że ich ani zatkać ani zamącić na zawsze nie można.

Urażania, któremi z mównicy berlińskiej przemocny szyderca obsypał te znaczne uniesienia swych ziomeków z przed pięćdziesięciu laty, nie odmienia przyrodzonych praw serca ludzkiego, a szlachetna postać Germanii, ze łzawem okiem podającą ciepłą dłoń cierpieniu i niedoli, nie przestanie zaznaczać jasnymi barwami piękny ten epizod z historii XIX wieku, i wbrew ponurym teoryom dzisiejszego pesymizmu, pozostanie pocieszającym świadectwem, że przecie nie zawsze *homo homini lupus*, i że nie na to tylko narody obok siebie postawione, by się wiecznie nienawidzić i niszczyć wzajemnie.

Może ci sami Niemcy uznają znowu, że Polska nawet w swym pogrobowym bycie nie jest martwym i biernym członkiem ludzkości na polu kultury, i że trwale niecałe ognie, który ją żywi, który ją trawi — ona, jedna z pierwszych, wywołała ten wielki ruch, który stanowi wybitne znamię naszego wieku — ruch, który w pełnym jest toku i który jeszcze nie spoczął. Może przypomną sobie, że i oni z tego ogniska nieśli pokarm i nabierali bodźca dla własnych usiłowań narodowych, z których powstało dzisiejsze państwo niemieckie. Może kiedyś — nie tylko z pobudek sprawiedliwości, ale ze względów realniejszych uznają i w innych to, co w sobie tak wysoko cenią i pielęgnują i co przy własnej pracy i zasłudze, ujęte w dłoni wielkiego męża stanu, stało się główną dźwignią ich wspaniałego rozwoju.

Wędrownka wychodźców naszych, rozpoczęta w październiku, staje się najtłumniejszą od grudnia do kwietnia, ale i potem nie odrazu i nie rychło ustaje. Choć już nie kolumnami, rozsypani wygnańcy wciąż nadciągają jeszcze przez długie miesiące: bądź z niewoli prus-

skiej, lub z interny austriackiej, bądź z ukrycia w kraju, a niekiedy nawet już z drogi na Sybir. Władze Rzeszy, uginając się przed wolą z nad Newy, jąły występować srożej przeciwko Polakom i przyjaznym dla nich manifestacyom; z inicjatywy pruskiej wyszły rozkazy zamknięcia wszystkich komitetów polskich — mimo to współczucie publiczności niemieckiej nie ostygło i stale towarzyszyło naszym braciom aż do samych progów Francji.

Strasburg i Metz były główne wrota, przez które Polacy wstępowali do kraju, gdzie dla wszystkich ludów zdawał się gotować nowy porządek rzeczy. Na widok trójkolorowej chorągwi nie jednemu serce żywiej zabiło i z młodej piersi, pełnej jeszcze wiary, wyrwał się okrzyk: „Witaj Francyo! Witaj kraino, gdzie znajdziemy nie tylko schronienie gościnne, ale i grunt przyjazny, by służyć rozdartej ojczyźnie!“ Nie przewidywali oni wtedy, że ich wygnanie przetrwa pół wieku, nie przeczuwali czego po długich latach, na schyłku dni sędziwych i gorzkich, dożyją jeszcze: że „starsza siostra“, znudzona naszą niedolą bez końca, zaprzątnięta własnymi troskami, odwróci się od młodziej; że rada unikać będzie aż do imienia naszego i że dla naszych bólów będzie miała tylko .. obojętność, niewiadomośc lub dowiec cierpki.

K O N I E C .



